ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

CENA 1 sh

ROK VI. Nr 46 (282)

LONDYN, 16 LISTOPADA 1952 R.

MICHAŁ PORADOWSKI

W OJCZYŹNIE DON KICHOTA



POMNIK W MADRYCIE

Wiele można by napisać o uroku Hiszpanii: o przecudnych krajobrazach, o wspaniałych zabytkach sztuki, o romańsko-gotyckich katedrach i zamkach, o malowniczych strojach ludowych, o czarujących tańcach i śpiewach, tak całkiem różnych w poszczególnych prowincjach, o powszechnie panującej radości i pogodzie życia, tak charakterystycznych dla południowo-europejskich narodów katolickich, o gościnności itd., ale wiem, że nie to najbardziej interesuje dzisiaj opinię publiczną; nikt nie kwestionuje uroku Hiszpanii i czaru jej dwutysiącletniej kultury. Raczej każdego interesuje dzisiaj odpowiedź na pytanie: jak układa się życie w Hiszpanii po niedawnej wojnie domowej i jak wyglądają rządy gen. Franco.

Spróbujmy więc pokrótce przedstawić życie gospodarcze, stosunki społeczne, politykę wewnętrzną i zagraniczną oraz ogólny rozwój kulturalny Hiszpanii dzisiejszej.

Utarła się opinia, że Hiszpania jest krajem gospodarczo zacofanym i że panuje w niej powszechny głód i bieda. Czy opinja ta odpowiada rzeczywistości? Aby dać odpowiedź możliwie bezstronną, zarówno na powyższe pytanie, jak i na szereg innych, trzeba zastosować przy badaniu dzisiejszej rzeczywistości hiszpańskiej metodę porównawczą, t. zn. że trzeba zestawić stopę życiową przeciętnego Hiszpana, dzisiejszą z dawną, a po drugie ze stopą życiową obywateli innych krajów europejskich, znajdujących się w podobnych warunkach, w tym wypadku n.p. z Francją i Włochami.

Jeśli więc chodzi o pierwsze zestawienie, t. j. porównanie stopy życiowej dzisiejszej z dawną, to widzimy niebywałą różnicę na korzyść. W Hiszpanii dawnej, tj. przed wojną domową, robotnik rolny czy pracujący w przemyśle w ciągu całego swego życia raz jeden (na ogół z okazji ślubu) zdobywał się na kupno ubrania (przyznać trzeba jednak, że były to przeważnie bardzo wytrzymałe samodziały), a dzisiaj prawie każdy Hiszpan kupuje sobie nowe ubranie corocznie.

W porównaniu jednak z innymi krajami dzisiejsza stopa życiowa w Hiszpanii wydaje się być niższa, niż we Francji, natomiast znacznie wyższa, niż we Włoszech.

Prawdą jest, że w Hiszpanii przed wojną domową, jak również w pierwszych latach po wojnie, na ogół panowała bieda, dzisiejsza jednak Hiszpania, chociaż nie jest jeszcze krajem powszechnego dobrobytu, staje się stopniowo coraz bardziej zamożna, a niektóre jej prowincje opływają już we wszystko. A jest to niewątpliwie ogromną zasługą obecnych rządów. Trzeba bowiem pamiętać, że z natury Hiszpania jest krajem rolniczo ubogim (nieurodzajność gleby), a przemysł nie jest jeszcze należycie, w stosunku do potrzeb gospodarczych kraju, rozwinięty. Ale na ubóstwo kraju złożyły się także i inne przyczyny.

Oto niektóre: pierwszą jest zła gospodarka poprzednich rządów. Zwróćmy tutaj uwagę choćby tylko na dwa fakty: wycięcie lasów i demagogiczna reforma rolna. Wytrzebienie lasów na ogromnych obszarach, których gleba nadaje się tylko na zalesienie, stała się przyczyną ciągłych powodzi i szeregu klęsk żywiołowych (np. wędrowne piaski, zmiany klimatyczne), katastrofalnie obniżając gospodarkę rolną i likwidując szereg gałęzi przemysłu. Zaś reformy rolne, kilkakrotnie przeprowadzane, powszechnie są znane jako wzór, jak nie należy przeprowadzać reformy rolnej. Szła ona w kierunku zniesienia wielkiej własności rolnej i wprowadzenia w jej miejsce średniej i małej. W zasadzie swej było to dążenie jak najsłuszniejsze, cóż kiedy nieurodzajne piaski do tego się nie nadają, a brak odpowiednich kapitałów inwestycyjnych na zabudowania oraz inwentarz żywy i martwy (narzędzia rolnicze) uniemożliwiły zagospodarowanie tych nowych działek. Skutek był właściwie tylko jeden: obniżenie produkcji rolnej i powiększenie ubóstwa ludności wiejskiej.

Druga przyczyna, to zniszczenie gospodarcze, spowodowane blisko trzyletnią wojną domową. Chodzi tu oczywiście nie tylko o zniszczenia przez działania wojenne: zburzone domy mieszkalne, mosty, zapory wodne, drogi komunikacyjne, fabryki itd., ale także i o wydatki na wojnę, której koszt był wprost niebywały, a przede wszystkim spadek wręcz katastrofalny ogólnej wytwórczości gospodarczej kraju, zarówno przemysłowej, jak i rolnej, spowodowany przez sam fakt prowadzenia wojny (mobilizacja, działania wojenne), w czasie której ogromna część warsztatów albo wcale nie funkcjonowała albo też pracowała połowicznie.

Trzecia przyczyna, to klęski żywiołowe, jakie nawiedziły kraj zaraz w pierwszych latach po wojnie domowej. Były to najpierw straszne, długotrwałe susze, a później okropne ulewy i powodzie.

Czwartą przyczynę należy upatrywać w odcięciu gospodarki hiszpańskiej od gospodarki europejskiej i ogólno-światowej. Spowodowała to najpierw sama wojna domowa, w czasie której handel zagraniczny Hiszpanii spadł wprost do zera. Później przyszły lata drugiej wojny światowej, w czasie której z konieczności stosunki gospodarcze Hiszpanii z innymi krajami zostały bardzo ograniczone. Wreszcie po wojnie przyszły lata bojkotowania Hiszpanii przez t. zw. państwa demokratyczne, gdy to pod wpływem Rosji sowieckiej stosowano wobec Hiszpanii coś w rodzaju „sankcji gospodarczych".

I wreszcie piąta przyczyna — last but not least — to wywiezienie zapasu złota i walut pod koniec wojny domowej przez „rząd republikański".

A mimo tych wszystkich przyczyn stan gospodarki przedstawia się znakomicie. Jest to chyba jedyny kraj w Europie, który bez żadnej pomocy z zewnątrz, ma budżet w pełni zrównoważony; ma zupełnie zdrowe finanse; od prawie dziesięciu lat peseta nie zmienia prawie wcale swej wartości, zarówno na rynku wewnętrznym (w stosunku do cen, czyli wartość nabywcza pieniądza), jak też i na rynku zagranicznym (w stosunku do dolara). Hiszpania nie ma właściwie wcale inflacji, tej strasznej klęski powojennej, zachowując — przy gospodarce wolnej — względną stałość cen i zarobków. Dobrobyt zaczyna stawać się zjawiskiem powszechnym, t. zn. że uczestniczą w nim wszyscy, cała ludność całego kraju. Lata głodu i biedy minęły, zdaje się, bezpowrotnie.

Czemu więc przypisać, że mimo znalezienia się w tak niesprzyjających warunkach Hiszpania z taką szybkością weszła na drogę dobrobytu? Przypuszczam, że chyba tylko bohaterskiej postawie narodu i mądrej gospodarce rządu. Naród hiszpański okazuje się niemniej bohaterski w codziennej, szarej pracy i w walce o polepszenie gospodarki, niż się okazał w walce z bolszewizmem. Niewątpliwie jednak ten powszechny entuzjazm społeczeństwa w pracy nie dałby tak znakomitych i szybkich wyników, gdyby nie mądra polityka gospodarcza rządu. Polega ona na unikaniu wszlkiego doktrynerstwa, na zachowaniu gospodarki wolnej, opartej na prywatnej własności i na inicjatywie gospodarczej jednostki; na rozbudowie tych gałęzi gospodarki, które przekraczają możliwości inicjatywy prywatnej; na przeprowadzaniu gigantycznych robót publicznych, obliczonych na podniesienie ogólnego dobrobytu (np. budowa zapór wodnych: ukończono już 32, a jest w budowie 38, niektóre tak wielkie, że francuska Genissiat przy nich przestaje być czymś imponującym), a przede wszystkim na kierowanie się względami na dobro ogółu, pojęte jako dobro narodu, a więc zarówno jako dobro teraźniejszych jak też i przyszłych pokoleń. Polityka gospodarcza dzisiejszej Hiszpanii jest wybitnie dalekowzroczna i dalekosiężna, unika efektów szybkich, ale krótkotrwałych, kierując cały swój wysiłek w dziedzinę zabezpieczenia stałych i trwałych podstaw dobrobytu społeczeństwa. Może najbardziej rzuca się to w oczy w dziedzinie polityki rolnej. Zamiast iść na parcelację większej własności, dobrze zagospodarowanej i wysoce produkcyjnej, czyni się wysiłki dla zdobycia nowych terenów pod uprawę oraz dla podniesienia ogólnej wydajności gleby.

Przez osuszanie terenów błotnistych (głównie w okręgu Walencji), przez nawadnianie gleb suchych i piaszczystych, przez budowę zapór wodnych, kanałów, regulację rzek oraz przez rozwój przemysłu sztucznych nawozów uczyniono już nadzwyczajnie dużo dla podniesienia produkcji rolnej oraz dla utworzenia nowych, samowystarczalnych gospodarstw chłopskich. Ogromnie też dużo zrobiono w dziedzinie zalesienia kraju. Może jednak najbardziej charakterystyczną cechą dzisiejszej gospodarki hiszpańskiej jest jej wszechstronność; nie zaniedbuje się żadnej dziedziny życia gospodarczego, jednocześnie dbając o harmonijny rozwój wszystkich, nie faworyzując np. jednej gałęzi przemysłu kosztem innej — oraz dążenie do pełnej samowystarczalności, tj. do uniezależnienia gospodarki krajowej zarówno od produktów zagranicznych, jak też i od obcego kapitału. Pod tym względem gospodarka kiszpańska jest czymś wyjątkowym w Europie powojennej. Jeszcze dziesięć, piętnaście lat, a Hiszpania stanie się jednym z najzamożniejszych krajów europejskich.

A cóż zrobiono w dziedzinie społecznej? Przede wszystkim należy stwierdzić, że — wbrew powszechnie panującej opinii — Hiszpania jest bodajże najbardziej demokratycznym krajem na świecie, oczywiście, jeśli przez demokrację rozumieć powszechne, szczere braterstwo między ludźmi wszystkich stanów i warstw. Może w żadnym kraju, tak jak w Hiszpanii, ludzie o zupełnie różnej kulturze i zamożności, przynależni do różnych warstw społecznych i zawodów nie współżyją ze sobą w atmosferze tak dalece posuniętego braterstwa i prawdziwej chrześcijańskiej równości. W Hiszpanii wszyscy są z sobą „za pan brat".

Niewątpliwie u podstaw tej poufałości leży głęboka religijność Hiszpana, która każe widzieć mu w każdym człowieku bliźniego i brata w Chrystusie. Jeśli co rana przystępują wspólnie do Stołu Pańskiego, czemuż nie mieliby również zasiadać i przy jednym stole w restauracji. Stąd widowisko codzienne w Hiszpanii (którego nie spotkałem w żadnym innym kraju), że oficer prosi „na jednego" czyścibuta, który mu przed chwilą polerował buty, że dyrektor banku, wchodząc do restauracji, najpierw długo i serdecznie ściska się z kelnerem, że pani domu traktuje służącą jak własną córkę itd.

To powszechne zbratanie się nie wywołuje jednak żadnego rozprzężenia: służba przez to nie zaniedbuje swoich obowiązków, przełożeni nie tracą swego autorytetu, nie następuje żadne zatarcie się szczebli w hierarchii społecznej. Hiszpania jest nadal krajem arystokratycznym, gdzie pełno ludzi o najrozmaitszych przywilejach, ale przywileje te i tytuły bynajmniej nie wywołują zazdrości czy nienawiści klasowych. Marksizm, w sensie walki klas i nienawiści, jest zupełnie obcy psychice Hiszpana. W Hiszpanii nie ma walki klas (prócz sztucznie rozbudzanej przez agitatorów komunistycznych). Przeciwnie, jest głębokie i serdeczne współżycie ze sobą wszystkich. Prawda, że w okręgach przemysłowych środowisko robotnicze, znajdując się przez wiele lat pod wpływem prądów marksistowskich, jest w dużej mierze zatrute hasłami nienawiści klasowej, ale to nie jest rodzime, hiszpańskie, lecz obce, importowane. I trzeba o tym pamiętać przy badaniu zagadnień społecznych w Hiszpanii.

Co zrobiono dla robotnika? I bardzo dużo i bardzo jeszcze niewiele. Zrobiono bardzo dużo w dziedzinie polepszenia ustawodawstwa społecznego, podniesienia stopnia kultury i oświaty, pomocy społecznej i ubezpieczeń, a przede wszystkim odmarksizowania psychiki robotniczej, podniesienia stopy życiowej i zdrowotności — najmniej zaś w dziedzinie podniesienia zarobków. Zreformowano i unowocześniono ustawodawstwo społeczne: jest ono dziś bardzo już zbliżone do ustawodawstwa innych krajów europejskich, aczkolwiek w pewnych jeszcze dziedzinach nie tak zaawansowane, jak n. p. w Anglii, ale to zrozumiałe, gdyż gospodarki hiszpańskiej nie stać jeszcze na wiele ciężarów społecznych.

Hiszpanie są realistami i unikają demagogii; wolą reformy stopniowe a trwałe. Bardzo wiele zdziałano w dziedzinie podniesienia stopnia kultury robotniczej i oświaty, zdając sobie sprawę, że to głównie na ciemnocie żeruje propaganda komunistyczna. Stąd duży nacisk na szkoły społeczne i uniwersytety ludowe. Imponujące dzieło stanowi Uniwersytet Robotniczy w Gijon, jednym z największych ośrodków przemysłowych Hiszpanii. Jest to instytucja zupełnie wyjątkowa i bodajże nie posiadająca odpowiednika poza Hiszpanią, choć oczywiście dopiero eksperyment.

Niezmiernie też ciekawym eksperymentem jest Szkoła Wychowania Społecznego (Escuela de la Capacitation Social) w Madrycie. Przyjeżdżają do niej robotnicy z całej Hiszpanii na kursy oświatowe sześciotygodniowe. Uniwersytet ten mieści się w pięknym, nowoczesnym budynku: klasy wykładowe, biblioteki, czytelnie, sale rekreacyjne, kino oraz sale sypialne, łazienki i jadalnie, wreszcie duża, piękna kaplica. Robotnicy zjeżdżają się tutaj wedle zawodów, np. rybacy ze wszystkich brzegów Hiszpanii. Wykłady obejmują kursy zawodowe oraz ogólno-oświatowe (historia powszechna i Hiszpanii, ustawodawstwo społeczne, aktualne prądy ideowo-społeczne na świecie, literatura, język hiszpański, religia, katolicka doktryna społeczna), poza tym śpiew, muzyka, zwiedzanie muzeów i zabytków sztuki w Madrycie, zwiedzanie fabryk i ośrodków robotniczych itd. Szkoła jest czynna przez cały rok. Wyniki jej są wręcz fantastyczne. Robotnik przyjeżdża na koszt szkoły i pobyt w niej ma darmo (jest ona utrzymywana przez ministerstwo pracy), a ponadto nie traci swych zarobków normalnych, gdyż pracodawca jest obowiązany udzielić płatnego urlopu.

Udział w kursie jest dobrowolny. Absolwenci tworzą własne stowarzyszenie, które współpracuje ze szkołą.

Znakomicie są też prowadzone liczne szkoły rzemieślniczo-zawodowe dla młodzieży przez państwo lub instytucje społeczne. Bardzo często państwo powierza prowadzenie tych szkół zgromadzeniom zakonnym (głównie salezjanom).

Pomoc społeczna jest świetnie zorganizowana przez instytucję pod nazwą „Auxilio Social". Prowadzi ona w całym kraju domy i stacje opieki nad matką i dzieckiem, przedszkola, sierocińce, domy dla starców, tanie (prawie darmowe) jadłodajnie itp. Instytucja ta posiada piękną kartę w dziedzinie podniesienia higieny i zdrowotności, walki z epidemiami, a przede wszystkim polepszenia warunków mieszkaniowych. Przy sposobności warto wspomnieć, że z jej pomocy korzystają od szeregu lat sieroty polskie przywiezione do Hiszpanii z Niemiec.

Prasa zagraniczna najostrzej atakuje hiszpańskie związki zawodowe. Czy słusznie? Kto przyzwyczaił się do marksistowskiego typu związków zawodowych, temu nie podobają się syndykaty hiszpańskie. Pozostaje odpowiedź na pytanie, czy rzeczywiście ideałem związków zawodowych powinien być syndykat wyrosły w atmosferze walki klas i przesiąknięty ideologią maksistowską? Właśnie dzisiejszej Hiszpanii, którą tyle krwi kosztowała niedawna wojna domo-

(Dokończenie na str. 4)

JÓZEF ŁOBODOWSKI

W ROCZNICĘ ŚMIERCI

Pamięci Pedro Borrella

I.

Jeśli droga prowadzi na wprost,
to już zdaje się, że wszystko proste.
wybudować z barw świetlisty most
i przez życie długo iść tym mostem.

Bo za barwą gdy otwiera się barwa,
można silny żagiel z barw tych utkać;
potem ziół i świeżych kwiatów narwać,
by płynęła ukwiecona łódka.

Ale po morzu przewalają się wichry i burze,
ale nad morzem groźnie się błyska.
Gdy raz żeglarza nawiedził grom i urzekł,
już się nie wyrwać z kotłowiska.

Płoną barwy szkarłatnym płomieniem,
mroczny płomień podchodzi dołem.
Przepalone gorączką cierpienie
rozsypuje się szarym popiołem.

To ostatnie już tragiczne malowidło —
stulęczowy, stubarwny pożar,
aż ku górze wzlatującym skrzydłom
moc podetnie twarda ręka Boża.

Nie ma kwiatów na zetlałej łodzi,
w pustych oczach ołowiane szkliwo,
gdy po szczeblach jasnych barw odchodzi
ku cyprysom rajskim i oliwom.

II.

Teraz grudkę ziemi zbliżać ku ustom,
barwnym kwieciem przykryć martwą glinę.
Biały cmentarz — kamienny San Justo
ukołysze na wieczny odpoczynek.

A nad grobami cyprysy,
a za murami widać oliwy.
jeszcze chwila i na cmentarz się wedrą...

San Justo po hiszpańsku
Święty Sprawiedliwy.

Śpij, Pedro,
snem Sprawiedliwych!

Józef Łobodowski

JAN WINCZAKIEWICZ

DYSKUSJA O WSPÓŁCZESNEJ HISZPANII

KATOLICKI CZY „KATOLICKI"?

Szanowny Panie Redaktorze!

Ostatni list p. J. Giertycha w sprawie Hiszpanii (ŻYCIE nr. 33/269) składa się z dziewięciu punktów. Na każdy z nich odpowiadam: „Nie. Prawda wygląda zupełnie inaczej." Wyczerpująca odpowiedź musiałaby zająć z dziesięć numerów ŻYCIA. Zresztą wiele argumentów przeciw tezom p. Giertycha podałem w mych wypowiedziach poprzednich. Dziś zajmę się tylko sprawą „katolickości" reżymu generała Franco. Według p. Giertycha, rząd pretendujący do miana rządu katolickiego „może na wiele spraw mieć poglądy własne, nieraz subiektywne i wypowiadać je śmiało, nie dbając o to, że są tacy, co się z nimi nie zgodzą. Musi jednak nałożyć sobie rygory katolickiej etyki i katolickiego sumienia, musi postępować tak, by działalnością swoją przyczyniać się do dobra Kościoła i religii, a już conajmniej, by im nigdy nie szkodzić, musi wreszcie opierać się o ludzi, którzy wierzą w Boga i są katolikami z przekonania i postępowania."

Zgadzam się z tą definicją. Ale włosy stają mi dęba, kiedy p. Giertych dodaje: „Rząd generała Franco jest niewątpliwie rządem katolickim w powyższym znaczeniu".

Spośród wielu, wielu przykładów świadczących, w jaki to sposób Franco i jego ludzie przestrzegają rygorów etyki katolickiej, wybieram kwestię terroru na Majorce po wybuchu powstania. Informacje czerpię z książki wielkiego pisarza katolickiego, znanego ze swej bezkompromisowej prawdomówności, Jerzego Bernanosa, p.t. „Les grands cimetières sous la lune". Bernanos osiedlił się na Majorce na rok przed wybuchem rokoszu i spędził na niej dwa lata, przebywając często w towarzystwie miejscowych Hiszpanów i utrzymując bliskie stosunki ze zwolennikami generała Franco. Jego syn, mimo że Francuz, należał do Falangi i walczył na froncie. Sam pisarz nie krył się z początku z sympatiami dla powstańców i nawet widok samolotów włoskich, przysłanych przez Mussoliniego, napawał go radością. Przejrzał po kilku tygodniach i nie bez bólu rozstawał się ze złudzeniami, jakie miał przedtem na temat przedsięwzięcia nacjonalistów. Oczy otworzył mu terror, bezlitosny, cyniczny terror, do jakiego zabrali się zwycięscy zaraz po „oswobodzeniu" wyspy. Jeden z tych, którzy represjami kierowali, powiedział Bernanosowi, że w ciągu pierwszych siedmiu miesięcy wymordowano trzy tysiące ludzi. Bernanos dodaje, że była to cyfra najniższa, jaką słyszał, i na ogół ludzie wymieniali znacznie wyższe liczby ofiar. Odwiedzając w tym roku Majorkę, miałem możność sprawdzić niektóre fakty podane przez Bernanosa i przekonać się, że odpowiadają całkowicie prawdzie. Pisarz francuski, choć pasjonat, w niczym nie przesadził i raczej można mu zarzucać złagodzenie niż przejaskrawienie opisu. Mnie na przykład trzech różnych Hiszpanów, wcale nie „czerwonych", mówiło o 15 do 20 tysiącach ludzi zabitych przez rycerzy "świętej wojny", jak to Franco nazywa po dziś dzień swój rokosz. Dodajmy, że wyspa, mająca niespełna 100 km wzdłuż i wszerz, liczy koło 300.000 mieszkańców.

Tej rzezi nie da się usprawiedliwić niczym, nawet takimi — skądinąd wątpliwej wartości okolicznościami łagodzącymi, jak specyficzne okrucieństwo tkwiące w charakterze Hiszpanów, rozognienie pasji politycznych, potrzeba odwetu za napady na księży i kościoły, atmosfera walk frontowych, niebezpieczeństwo komunizmu. Ludność Majorki bowiem odznacza się wyjątkowo łagodnym usposobieniem. Naturalna życzliwość i tolerancja to tradycyjne cechy tego śródziemnomorskiego, rolniczego ludu. W przeciwieństwie do sąsiedniej Katalonii mieszkańcy Majorki nigdy się żywiej polityką nie interesowali, w walkach politycznych udziału nie brali. Żyjąc z rolnictwa, rzemiosła i turystyki nie wytworzyli u siebie klasy proletariatu przemysłowego, a nędza — stałe zjawisko w innych prowincjach — nigdy do nich nie zawitała. Nie było także mowy o komuniźmie. Sami falangiści nie mogli doliczyć się na wyspie stu komunistów. W okresie poprzedzającym powstanie nie dokonano tam ani jednego napadu na osobę duchowną, ani jednego napadu na kościół ,ani w ogóle żadnego zamachu politycznego. Pierwszy ksiądz, jaki padł na Majorce, zginął już po wybuchu powstania, i to z rąk powstańców. Wreszcie podkreślić trzeba, że powstańcy opanowali wyspę bez walki w pierwszym dniu wojny domowej. Znacznie później republikanie wylądowali w małym porcie Porto-Christo, skąd ich jednak po kilku tygodniach odrzucono. Ze strony miejscowej ludności Falanga i wojsko nie natrafiły na poważniejszą akcję, która by mogła usprawiedliwić represje.

A jednak rzezi dokonano. I nie był to wcale jakiś nagły, emocjonalny wybuch gniewu. Terror uprawiano przez osiem miesięcy, na zimno, z premedytacją. Przybierał on różne formy. W niektórych wypadkach samochody falangistów zajeżdżały w nocy do wsi, wywlekały z łóżek osoby podejrzane i wywoziły na cmentarz, gdzie dokonywano egzekucji bez żadnego sądu, dwoma strzałami w tył czaszki. W innych wypadkach stawiano oskarżonych przed sąd wojskowy, który albo uniewinniał, albo skazywał na karę śmierci. Spośród skazanych na śmierć większość miała na sumieniu tylko to „przestępstwo", że przed wojną należała do legalnych partii politycznych republiki. W taki sposób zginął burmistrz Palmy, z zawodu lekarz. Udowodniono mu to jedynie, że należał do partii radykałów. Wstawiały się za nim zakonnice z Palmy, ale nie zdołały wzruszyć „katolickiego" trybunału. Na egzekucję czekał w więzieniu sześć miesięcy, a ponieważ był ciężko chory, utrzymywano go przy życiu silnymi zastrzykami. Gdy Bernanos zapytał, dlaczego nie wykonano wyroku wcześniej, usłyszał odpowiedź, że to formalności związane z konfiskatą majątku skazańca ciągnęły się tak długo. Kiedy indziej znów sąd wojskowy wydał wyrok śmierci na ogólnie poważaną, mieszczańską rodzinę złożoną z ojca, matki i dwóch niepełnoletnich córek, o których doniesiono, że w swym ogrodzie klaskał w ręce na widok samolotu republikańskiego.

Osób uniewinnionych przez sąd nie wypuszczano bynajmniej na wolność, lecz zamykano w więzieniu jako elementy podejrzane. Po kilku miesiącach zwalniano je oficjalnie, ale przed bramą więzienia czekał samochód Falangi i odwoził je zamiast do domu — na cmentarz, skąd nigdy już nie wracały.

Wreszcie rozstrzelano bez sądu, oblano benzyną i spalono jeńców republikańskich wziętych do niewoli w Porto Christo. Wśród nich była grupa rannych. Wiadomość o dobiciu ich podały tryumfalnie gazety w Palmie. Kiedy Bernanos próbował wyrazić obiekcje, jeden z dzienników napisał, że są to konieczności "świętej wojny".

Albowiem owa „święta wojna" nie schodziła z ust autorom terroru. Naturalnie, uważali się oni za katolików, regularnie chodzili do kościoła, brali udział w procesjach, na piersiach nosili wielkie białe krzyże, a skazanym dawali możność wyspowiadania się przed egzekucją. Jeden z księży, który spełniał ten smutny obowiązek, powiedział Bernanosowi, że tylko 10 procent odmawiało przystąpienia do Sakramentów. Nie wykluczam, że niektórzy spośród tych 10 procent stracili wiarę w ostatniej chwili...

Reasumując — powstańcy na Majorce zabili z premedytacją kilka czy kilkanaście tysięcy ludzi niewinnych, których uznali za swych ideowych przeciwników, rzeczywistych lub domniemanych. Gdy jeden z księży powiedział na ten temat parę nieostrożnych słów, rycerze „krucjaty" kazali mu pod groźbą rewolweru wypić litr rycyny.

Terror na Majorce nie był zjawiskiem odosobnionym. Podobne wypadki miały miejsce w całej Hiszpanii. Wybrałem tu Majorkę, raz ze względu na osobę świadka, którego wiarogodności nie sposób zakwestionować, po drugie dlatego, że na Majorce terror frankistów wystąpił w formie czystej, podczas gdy gdzie indziej rozstrzeliwano niewinnych obok winnych, co zaciemnia obraz i utrudnia orientację. W każdym bądź razie nie może ulegać żadnej wątpliwości, że generał Franco i jego rząd ponoszą odpowiedzialność nie za jeden, ale za dziesiątki hiszpańskich Katyniów. W historii tego kraju bywały pewne precedensy, lecz i osławiony inkwizytor Torquemada, i nie mniej sławny konkwistador Pizarro bledną przy generale Franco. Nie sposób dziś ustalić liczby niewinnych ofiar, jakie ciążą na sumieniu madryckiego dyktatora, bez ryzyka jednak powiedzieć można, że idą one w dziesiątki tysięcy.

Nie wyobrażam sobie, aby p. Giertych chwalący się znajomością Hiszpanii nie słyszał o tych rzeczach. Jak tedy może twierdzić, że rząd generała Franco jest rządem katolickim i że nakłada sobie rygory katolickiej etyki i katolickiego sumienia?

Jan Winczakiewicz

JÓZEF ŁOBODOWSKI

HISZPAŃSKIE LEGENDY

Na łamy polskich czasopism emigracyjnych raz po raz powraca sprawa hiszpańska, a wielu traktuje ją z tak wyraźnie uczuciową zaciekłością, jak gdyby kwestia reżymu w Hiszpanii decydowała jeśli już nie o losach naszego narodu, to przynajmniej emigracji. Dyskusja ta nie ominęła i ŻYCIA, polaryzując się głównie dokoła zagadnienia katolicyzmu hiszpańskiego. Rozpętał ją Jan Winczakiewicz, od dłuższego już czasu bojowy paladyn wolności ludów iberyjskich, pogromca generała Franco i przysięgły obrońca Republiki.

Po raz pierwszy znalazłem się w Hiszpanii w r. 1941. Mieszkam w Madrycie stale od zakończenia wojny. Poznałem na tyle hiszpański język, że zarabiam na życie jako publicysta; zwędrowałem spory szmat Kastylii, Aragonii, Katalonii i Lewantu na piechotę, orientuję się jako tako w historii tego kraju i jego literaturze, zaś przebieg wojny domowej i tego, co działo się przedtem, znam nie tyle z jednostronnych, a więc przeważnie tendencyjnych omówień, ile z rozmów z naocznymi świadkami i uczestnikami wydarzeń. Półtoraroczny pobyt w więzieniu hiszpańskim dał mi pod tym względem niezastąpione doświadczenie.

A jednak... A jednak w wielu wypadkach, natrafiając na zjawiska niełatwo poddające się ocenie człowieka o odrębnej mentalności, nie ryzykowałbym żadnej kategorycznej opinii i co najwyżej stawiałbym ostrożną hipotezę. Zdaję sobie bowiem sprawę, że takie same czy podobne zjawiska społeczno-polityczne mają zupełnie inny ciężar gatunkowy w odmiennych klimatach psychicznych i że ich obiektywna ocena nic nie jest warta, jeśli nie weźmiemy pod uwagę strony subiektywnej. Beztroscy turyści radzą sobie inaczej. Pomieszkają dwa, trzy dni w wygodnym hotelu madryckim, przejdą się po Sewilli, pomoczą nogi na balearskiej plaży — i już wszystko wiedzą, już Hiszpania nie ma dla nich najmniejszych tajemnic. Nad językiem panują tak dalece, że w kartę restauracyjną tykają palcem a ze służbą pokojową rozmawiają na migi, ale to nie szkodzi — i tak po powrocie zostaną zamianowani sami przez siebie „wybitnymi znawcami" problemów hiszpańskich.

Chętnie na przykład wierzę, że Florian Śmieja nie spotkał w czasie swej podróży ani jednego zwolennika generała Franco, ale nie należy z tego kuć argumentów zbyt pochopnych, zanim się swego doświadczenia nie rozszerzyło i nie uzupełniło. Gdym się po raz pierwszy bliżej zetknął z Francuzami (również w więzieniu), byli to bez wyjątku tchórze, śmierdziele, brudasy i pętaki. Także i ja zasłużyłbym na miano pętaka, gdybym sobie na podstawie znajomości moich sąsiadów ze wspólnej celi urabiał pojęcie o całym społeczeństwie. Śmieja nie znalazł w księgarniach madryckich ani Woltera, ani Sartre'a ani Unamuny. Sartre w ogóle na hiszpański nie był tłumaczony, choć czasopisma pisały o nim bardzo szeroko i szczegółowo (ja sam ogłosiłem kilka o nim artykułów i notatek); poza tym zarówno Sartre jak Wolter znajdują się na indeksie, a trzeba wiedzieć, że katolicy hiszpańscy biorą indeks watykański bardzo serio. Co do Unamuny... Za 18 peset (mniej niż 4 szylingi) mogę zainteresowanym posłać egzemplarz „Tragico sentimiento de la vida". Twórczość wielkiego pisarza komentował i omawiał szczegółowo, nie szczędząc obszernych cytat, doskonale prowadzony miesięcznik oo. jezuitów „Razon y Fé". A więc lepiej nie zrażać się byle czym, panowie turyści! Jeśli w jednym przedziale wagonu mówią źle o reżymie, może w następnym będą mówili lepiej; jeśli w jednej księgarni nie mają poszukiwanego dzieła, może znajdzie się ono w innej.

Prawda jest jak medal — zawsze ma dwie strony. Jeśli świadek mówi tylko część prawdy a resztę zataja, jego świadectwo jest fałszywe, choćby nie powiedział ani jednego słowa nieprawdy. Gdy Winczakiewicz omawia ciemne strony katolicyzmu hiszpańskiego a przeciwstawia im wyłącznie biskupa Malagi jako jednostkę wyjątkową i o d o s o b n i o n ą, ma właśnie tak częściową rację, która żadną racją nie jest. Akcja społeczna biskupa Herrery nie mogłaby zatoczyć takich szerokich kręgów i wyjść poza granice jego diecezji, gdyby hiszpański kler wyglądał tak, jak to usiłuje wmówić w czytelników Winczakiewicz. Niechby sobie poszedł w czasie pobytu w Madrycie na Vallecas, najbardziej skomunizowaną dzielnicę miasta, niechby zobaczył z jakim samozaparciem i poświęceniem pracują księża z „Ciudad de los muchachos", jak rynsztokowi, tawernie i ateizmowi wyrywają setki młodych istnień, dają im fach i wychowują na przyzwoitych ludzi, może by łaskawie przyznał, że owa brzydka reszka ma również z drugiej strony swego znacznie przystojniejszego orła.

Panowie turyści traktują obecną polityczno - społeczną rzeczywistość hiszpańską jako zjawisko, które powstało z niczego, a jeśli ma ojców chrzestnych, to w osobach nieboszczyków Hitlera i Mussoliniego. Wolne żarty! Etap, zapoczątkowany w dniu 18 lipca 1936 r., włącza się logicznie w historyczny proces, którego początków należało by szukać w wieku XVIII, jeśli nie wcześniej. Nie po raz pierwszy Hiszpania odizolowała się od ideologii, panującej w reszcie Europy, nie po raz pierwszy buntuje się przeciw panującym powszechnie poglądom. Nic na to nie poradzimy: to bardzo zacofany naród. W XVI wieku nie chciał iść z postępem i nie przyjął Lutra ani Kalwina; na przełomie XVIII i XIX wieku nie zasadził drzewa wolności na Puerta del Sol i wyrżnął mameluków Napoleona na tymże placu, zamiast ich witać biciem w dzwony, jak to uczynił na przykład Mediolan na wejście najpierw trójkolorowych grenadierów, a później kozaków Suworowa. A tak się do własnego zacofania przyzwyczaił, że już za naszych czasów ani rusz nie chciał przy rządach ludzi, którzy tolerowali zabawy milicjantów, rozstrzeliwujących posąg Chrystusa na Cierro de los Angeles. I w ogóle barbarzyński kraj pod każdym względem! Pomyśleć, że tu jeszcze istnieje instytucja służby domowej! Pomyśleć tylko, że tu jeszcze się ceni cnotę u niezamężnych dziewcząt, a za cudzołóstwo płaci się krwią! „Komedia!" — wykrzyknęła z oburzeniem turystka, gdy ksiądz nie chciał jej wpuścić do kaplicy w Eskorialu, bo miała na sobie bluzkę bez rękawów. „Nie, s e n o r a, to nie komedia!" — odparł ksiądz z pobłażaniem, wskazując na tabernaculum.

Byłem bardzo zdziwiony, gdym zaraz w pierwszych dniach pobytu w więzieniu w Figueras dowiedział się, że „czerwoni" stają przed trybunałem wojskowym, oskarżeni o „rebelię". Wydało mi się to niepoważnym absurdem i naciąganiem litery prawa. Z biegiem czasu zrozumiałem sens takiego oskarżenia. Oto w pojęciu Hiszpana, wiernego swym narodowym tradycjom, prawdziwą rebelią była właśnie Republika, ponieważ treścią swoją i praktyką zaprzeczała i urągała samej istocie hiszpańskości. Ba! — toż dla konsekwentnych karlistów wszystko, co działo się w Hiszpanii po śmierci Ferdynanda VII, było n i e l e g a l n e. Można się z takim stawianiem sprawy nie zgadzać, ale nie podobna ignorować samej postawy, skoro istnieje i w razie potrzeby manifestuje się zbrojnie. „Nic nas nie obchodzą — mówił mi jeden z hiszpańskich znajomych — powszechne głosowania, ani uchwały gmin i syndykatów. Przeznaczeniem Hiszpanii jest autokracja idei, a nie liberalizmy i demokracje. Niech się nimi cieszą Francuzi i Anglicy. Byliśmy i pozostaniemy wierni Rzymowi, dziedzictwu cesarza Karola i krucyfiksowi spod Lepanto; niech sobie wszyscy kwakrzy anglosascy rzucają za to na nas anatemy — mury Eskorialu od tego nie runą." I jeszcze: „Kto zamierzył się świętokradczą ręką na dwutysiącletnie dziedzictwo hiszpańskie, ten był zdrajcą i buntownikiem, a to że w swej ręce trzymał kartkę wyborczą, w naszych oczach jego buntu nie uświęciło. Oni legitymowali się urnami wyborczymi, a my Ferdynandem Świętym i Izabellą Katolicką, Kolumbem i Kortezem, świętą Teresą i Calderonem de la Barca! Z nami była nasza wspaniała przeszłość i wszystkie jej wielkie duchy, a więc i słuszność, i przy nas musiało zostać zwycięstwo."

Jest w tym otwarte i cienia hipokryzji pozbawione odrzucenie głównej zasady demokratycznej, jaką stanowi wyniesienie na ołtarze woli większości. „Siempre minorias! — zawsze mniejszość!" — oto hasło naczelne, brzmiące jak wyzwanie w uszach każdego demokraty. A zresztą polityczna myśl hiszpańska już w połowie ubiegłego stulecia zwracała uwagę na fakt, że owa „większość", to nic innego jak bezkształtna masa sterroryzowana psychicznie przez sprawną organizację polityczną. Poczytajcie, panowie turyści, Balmesa i Donosa Cortesa, poczytajcie, a może pojmiecie to i owo z rzeczywistości hiszpańskiej.

* * *

Przekonany demokrata musi logicznym biegiem rzeczy ustosunkowywać się wrogo do obecnego reżymu, ale wrogość nie powinna wykluczać lojalnego rozróżnienia między tym, za co system istotnie ponosi odpowiedzialność, a tym, co swoją genezą tkwi w zbiorowej mentalności, w silnie zakorzenionej tradycji, w całej narodowej przeszłości, wreszcie w zastarzałych zbiorowych nałogach. Rzecz prosta, na rozróżnienie takie można zdobyć się dopiero po solidnym przestudiowaniu przedmiotu. Pół tuzina rozmów w pociągu, autobusie czy restauracji rzetelnych studiów nie zastąpi.

Jaskrawy przykład. Hiszpańska masa urzędnicza zarabia za mało. Prawie każdy urzędnik musi dorabiać na boku, organizować jakieś interesy, brać drugą posadę. A dzieje się tak dlatego, że w biurach pracę, z którą doskonale dałaby sobie rady jedna osoba, wykonywa dwóch-trzech ludzi. Przeprowadzić odpowiednie reformy? — toż to prawdziwa rewolucja społeczna i gospodarcza. Ale tego systemu obecny reżym nie stworzył, bo tak było i za Republiki i za Alfonsa XIII i w wieku ubiegłym.

Z upodobaniem stawia się znak równania między Franco a Mussolinim, a nawet Hitlerem. Winczakiewicz napisał w „Robotniku", że właściwie nie ma żadnej różnicy między hiszpańskim dyktatorem a Bierutem. Zygmunt Zaremba poszedł jeszcze dalej i stwierdził „autorytatywnie", że generał Franco jest najbardziej znienawidzonym człowiekiem przez masy robotnicze w Kraju. Przyniosła mu tę wiadomość poranna poczta pantoflowa. A dlaczego najbardziej znienawidzonym? Bo faszyzm, bo system totalitarny, bo krwawy terror policyjny. Żyjemy, niestety, w czasach frazeologicznego rozwydrzenia i nieodpowiedzialnego szafowania słowami-liczmanami, tak już wytartymi, że właściwie nie rozróżnisz, co na nich było kiedyś wyryte. Co to znaczy ustrój totalitarny? Czy Hiszpania jest rządzona totalnie? Cechą ustroju faszystowskiego jest estadolatria — idolatria państwa; w Hiszpanii jej nie znajdziemy. Państwo totalitarne zmusza obywatela do udziału w polityce, chce czy nie chce; w Hiszpanii nikt nikogo do Falangi nie zapędza, do chodzenia na wiece nie zmusza, do okrzyków „Viva Franco!" nie nakłania. Owszem, istnieją pewne naciski, na przykład młoda dziewczyna nie będzie miała szeregu ułatwień, jeśli nie odbędzie jednorazowo kilkutygodniowego kursu falangistowskiego. Ale wychowanie polityczne jest tam sprowadzone do minimum, a gros czasu poświęca się szyciu, gotowaniu, gospodarstwu domowemu oraz sportom, śpiewom i tańcom ludowym. Po takim kursie cytaty z José Antonio szybko wylatują z głowy, a za to umiejętność przyrządzania p a e l l i, albo tańczenia aragońskiej j o t y pozostaje. Jeśli chodzi o gospodarkę narodową, to Anglia po reformach laburzystowskich jest zapewne krajem bardziej totalitarnym niż Hiszpania. A co do straszliwego podobno terroru policyjnego — Śmieja widział w Barcelonie tysiące policjantów z karabinami maszynowymi — to wypada postawić pytanie: jak się to stało, że żadnego z panów turystów nie zastanowiła ta niezwykła łatwość, z jaką Hiszpanie zaczynają się wywnętrzać i żalić przed każdym cudzoziemcem, i to wcale nie w jakimś tajemniczym sam na sam, przy szczelnie zasłoniętych okiennicach, w piwnicy, na samotnej przechadzce. Nie! — w biały dzień, publicznie, w pociągu, na ulicy, w

(Dokończenie na str. 3)

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

Audiencja. Papież przyjął na prywatnej audiencji arcybiskupa Williama Godfreya, delegata apostolskiego w Wielkiej Brytanii, chargé d'affaires przy Rządzie Polskim w Londynie.

Pielgrzymka z Barcelony u Papieża. W niedzielę, 26 października Papież przyjął pielgrzymkę z Barcelony, przybyłą do Rzymu, aby jeszcze raz wyrazić Papieżowi synowskie uczucia miasta, które gościło w roku bieżącym XXXV Międzynarodowy Kongres Eucharystyczny. Pielgrzymka złożyła dary w pieniądzach, szatach i naczyniach kościelnych.

Dokoła listu apostolskiego do ludów Rosji. W Pontificio Ateneo Antoniano w Rzymie odbyło się szereg konferencji poświęconych omówieniu listu apostolskiego „Sacro Vergente Anno" z 7 lipca do ludów Rosji. W pierwszym referacie rektor Ateneum, o. Karol Balic, przypomniał zakończenie sławnej książki belgijskiego historyka Godfryda Kurtha pt. „Kościół w przełomowych chwilach historii" o autorytecie Kościoła katolickiego i uniwersalności jego głosu i omówił doktrynę Kościoła zachodniego i wschodniego odnośnie misji Namiestnika Chrystusowego, konkretnego głosu Kościoła katolickiego.

Dziesięciolecie. Katolickie Centrum Kinematograficzne w Szwajcarii obchodziło 10-lecie swego istnienia. Pismo wydawane przez Centrum „Der Filmberater" jest cenione nie tylko w szwajcarskich kołach katolickich, ale i za granicą.

Misje wśród Rosjan. We wrześniu odbyły się misje dla Rosjan mieszkających w Hamburgu i okolicy. Prowadzili je o. Chryzostom Blaszkiewicz, benedyktyn, i ks. Paweł Krainik, alumn kolegium papieskiego „Russicum" w Rrzymie. Wydatki pokryła zasłużona „Oostpriesterhulp", która też dała misjonarzom samochód do dyspozycji. Misje zostały podzielone na dwa kursy, po trzy dni każdy. W pierwszym wzięło udział 18 osób, w drugim 32.

Ormianie we Francji. We Francji przebywa około 125 tysięcy Ormian, z których przeszło 40 tysięcy naturalizowało się. Katolików jest ok. 13 tysięcy. Ostatnio św. Kongregacja dla Kościoła wschodniego zamianowała o. Garabet Amaduni, mechitarystę, przełożonym misji ormiańskiej we Francji.

Studium radia i telewizji. Z inicjatywy Katolickiego Międzynarodowego Stowarzyszenia dla Radia i Telewizji odbyły się w uniwersytecie Gregorianum w Rzymie w pierwszych dniach listopada „dni studium radia i telewizji". Tematami studium były zagadnienia: radio i telewizja w służbie Kościoła, radio na misjach, katolicy a radio i telewizja.

Dziesięcioro rodzeństwa w służbie Kościoła. Portugalska rodzina Ferreira da Silva w Rebordoes dała Kościołowi 6 księży jezuitów i 4 zakonnice terezjanki. Pięcioro z nich, 3 braci i 2 siostry, są na misjach.

Nowy znaczek pocztowy. W serii znaczków pocztowych niemieckich, poświęconych osobistościom niemieckim zasłużonym na polu społecznym, jeden przedstawia ks. Karola Sonnenscheina, zwanego apostołem Berlina, a zmarłego w 1929 r. Ks. Sonnenschein, którego wielu Niemców ma jeszcze w żywej pamięci, był pionierem Akcji Katolickiej najpierw w Nadrenii, a następnie w Berlinie. Był także znanym literatem katolickim zasłużonym w obronie Kościoła w otoczeniu przeważająco protestanckim.

„O Naśladowaniu" po boersku. W języku holendersko - afrykańskim (boerskim) ukazało się tłumaczenie „O naśladowaniu Jezusa Chrystusa". Tłumaczem jest protestant, Geyser, profesor uniwersytetu w Pretorii, który oświadczył w słowie wstępnym, że „O naśladowaniu" należy do wspólnego dziedzictwa wszystkich chrześcijańskich kościołów, w tym samym stopniu, co słynne „De civitate Dei" św. Augustyna.

Nauki prowadzą do Boga. W niedzielę 5 października odbyła się w seminarium duchownym w Łodzi inauguracja nowego roku akademickiego, połączona z uroczystością 25-lecia pracy kapłańskiej i pedagogicznej ks. prałata Jana Żdżarskiego, kanclerza kurii biskupiej i profesora seminarium. Biskup ordynariusz, ks. Michał Klepacz, powiedział w swoim okolicznościowym przemówieniu: „Wszystkie nauki, im dalej się posuwają w swych odkryciach, tym wyraźniej wskazują drogę do Boga. Wśród innych nauk, bardzo poważnych i cennych, poczesne miejsce dla przyszłych kapłanów zajmuje teologia."

STEFAN ARVAY

SZKOŁA PROF. BOHUSZA SZYSZKI

Jeśli rozwój szkolnictwa w ogólnie biorąc ostatnich stu latach wszedł w fazę rozkwitu zupełnie niezwykłego, to jednak jest na tym wspaniałym obrazie skaza: szkoły artystyczne. Nie wykazują one tej ciągłej linii postępu, która cechuje uczelnie o charakterze czysto naukowym. Przeciwnie, metody naukowe i właściwy im sposób myślenia wydają się tutaj być raczej źródłem nieporozumień, niż pomocą. W sztuce wszystko sprowadza się do zagadnienia wartości a nauka wyjaśnia pochodzenie zjawiska, czy też prawa nim rządzące, lecz nie wartościuje. Bliższe twórczości artystycznej są metafizyka i religia. Bo prawda sztuki jest prawdą subiektywną, którą łatwiej jest przeżyć niż zbadać.

I gdy w czasach renesansu Leonardo, a zwłaszcza Michał Anioł i Vasari wywalczyli dla artystów status humanisty, ten sam, jaki mieli pisarze, sytuacja zaczęła się komplikować. Pojawiają się wkrótce akademie, by zastąpić warsztat malarski czy rzeźbiarski. Bo średniowieczny artysta nie tylko miał status społeczny rzemieślnika, lecz również jego metody pracy i szkolenia. Uczeń we warsztacie zaczynał od wyrobu farb i kończył jako współpracownik mistrza. Malował pejzaż w tle lub całe figury według szkicu właściciela firmy, bo organizacyjnie wyglądało to tak mniej więcej, jak dzisiaj np. warsztat krawiecki. Mistrz podpisywał dzieło, co nie znaczyło, że wykonał je własnoręcznie, lecz że bierze odpowiedzialność za jego jakość. Poziom umiejętności rzemiosła artystycznego i techniki był wtedy zdumiewająco wysoki, natomiast pojęcie osobistego wkładu i oryginalności twórczej nie istniało, aż do czasów Dürera, który o nich pierwszy zaczyna mówić, nie znajdując zresztą początkowo większego zrozumienia wśród kolegów. Lecz wartość indywidualności człowieka została już odkryta i artystę zaczęto uważać za wyjątkową osobistość.

Michał Anioł cieszył się autorytetem olbrzymim, Rubens był ambasadorem i ministrem pełnomocnym, Berniniego przyjmowano na dworze francuskim jak udzielnego księcia. Do tak wysokiej pozycji społecznej nie wypadało więcej dochodzić poprzez warsztat. Pod względem systemu nauczania akademie różniły się początkowo tylko nazwą od warsztatów cechowych.

Bardzo powoli uczeń przemieniał się z terminatora w słuchacza; i pomoc w pracy nauczycielowi zastąpiona została przez korektę w pracowni, coraz rzadszą z czasem i coraz bardziej ogólnikową. Poziom techniczny rzemiosła zaczął na tym cierpieć. Drugim ważnym czynnikiem były posiedzenia członków akademii, które wypowiadały się w kwestiach dekoracji budynków, stosowności fresków itp. Zasięgać opinii ekspertów w sprawach fachowych było rzeczą najracjonalniejszą w świecie. Nikt nie przypuszczał że narodzi się kiedyś z tego największa zmora akademizmu, która wartość całego systemu postawi pod znakiem zapytania: estetyka normatywna. W tym czasie Tintoretto wypisał na ścianie swej pracowni: „Rysunek Michała Anioła a kolor Tycjana" — i wynikiem tego hasła były nie eklektyczne kicze, lecz najprawdziwsze arcydzieła.

Żywy przykład na poparcie słów H. Focillon'a, że „prawdziwy klasycyzm jest szczęśliwie znalezionym momentem równowagi, która zawsze jest wynikiem uprzedniego eksperymentu. Jest odkryciem odcinającym się swą absolutną trafnością, jak sylweta katedry na tle nieba. Klasycyzm nie daje się zrekonstruować za pomocą reguł; bez uprzedniej fazy eksperymentu jest on bowiem niemożliwy".

Akademie bardzo szybko zajęły się wyłącznie właśnie taką rekonstrukcją klasycyzmu. W kodyfikacji motywów i elementów formy na bardziej i mniej estetyczne doszli do najlogiczniejszego absurdu Francuzi.

Uczeń słuchał coraz więcej wykładów o niedoścignionej doskonałości Rafaela i rzeźby starożytnej a w pracowni zostawał coraz bardziej sam i bez pomocy, twarzą w twarz z modelem. Kryzys tego systemu zaznaczył się w pełni dopiero, gdy metafizyka padła ofiarą racjonalizmu a sztuka, porzucając służbę religii, stała się prywatną, osobistą sprawą artysty. Okazało się wtedy, że tradycja rzemiosła w akademii zginęła, a zamiast podniety duchowej jest ona w stanie zaofiarować tylko wzory do naśladowania. I wkład artystyczny XIX wieku jest dziełem prawie wyłącznie t.zw. niezależnych, którzy z oficjalną nudą akademii byli w ciągłej wojnie. Wzrastająca świadomość, że twórczość jest wkładem duchowym artysty a nie imitacją, doprowadziła do poszukiwań metod nauczania mniej zabójczych dla indywidualności ucznia niż rutyna akademii. Idealnego rozwiązania nikt tu nie znalazł i ciągle jeszcze jesteśmy w stadium doświadczeń.

* * *

Polskie rozwiązanie, szkoła prof. M. Bohusza Szyszki (w ramach Społeczności Akademickiej Uniwersytetu Stefana Batorego) jest bardzo logicznie pomyślanym odwróceniem systemu akademii. Dlatego ten trochę przydługi wstęp.

I tak, jeśli osobowość artysty jest źródłem wartości w sztuce, a nie stosowanie się do pewnych autorytatywnie ustalonych reguł, to uczniowi daje się pełną swobodę rozwoju po linii, która mu najbardziej odpowiada. Akademie opierały naukę na rysunku z natury, podczas gdy największe osiągnięcia malarskie w ostatnich stu latach miały miejsce w dziedzinie czysto kolorystycznej. Wobec tego zaczyna się naukę od malowania, skoro w malarstwie kolor jest najważniejszy. Krytycy mogą w tym miejscu zarzucić również jednostronność metody, która różni się jedynie punktem wyjścia z przeciwległego bieguna. Lecz jest to raczej odmienny sposób kładzenia nacisku na ważność elementów po rozważeniu przyczyn, dla których tradycyjny system zawiódł.

W dziedzinie twórczości artystycznej wszelkie zasady są tak płynne, że każde rozwiązanie można przyjąć za słuszne, jeśli rezultaty są dobre. A prof. Bohusz Szyszko może się pochwalić, że wśród najmłodszej generacji artystów większość wybitnie zdolnych przeszła przez jego ręce. Na obecnej wystawie prac jego uczniów nie ma nic z nudy, którą normalnie na podobnych pokazach budzi mozolne silenie się na poprawność. Jest w tych pracach radość malowania, którą w zestawieniu z atmosferą zniecnęcenia, charakterystyczną dla szkół tradycyjnych, trzeba uznać za wielką zaletę tej uczelni.

Prof. Bohusz Szyszko, w dyskusji pozornie tak bardzo apodyktyczny, zostawia uczniom zadziwiającą swobodę. I dzięki temu prace ich nie są do siebie podobne, jak w innych szkołach.

Bardziej subiektywne natury czasami wymagają swobody mniej. Kto wie, czy p. Nałęcz przy swoich wielkich zdolnościach i temperamencie nie dałaby więcej, wyłamując się z pewnej dyscypliny, niż kiedy może malować co się jej podoba. P. Bohusz jako pedagog ma dar wyzwalania w ludziach tego, co w nich głęboko tkwi. Kiedyś w Polsce wydobywał z dzieci prace zupełnie kapitalne. Dziś robi to z ludźmi dojrzałymi. P.R. Sorso dał u niego doskonałe przykłady tego, co się dziś krystalizuje jako „modern primitive". Określenie, które brzmi zabawnie w odniesieniu do prof. uniwersytetu, lecz przyjęte jest dla tej gałęzi malarstwa powszechnie. W innej szkole nie byłoby zapewne na to miejsca. Lecz jeśli jest miejsce w podręcznikach historii sztuki dla tego typu twórczości, to może być również i w szkole, choć dyskusję wywoła pewno sporą. Czy jest więcej uczniów tej kategorii na tej wystawie, będzie może lepiej odpowiedzieć za rok. Wśród studentów, którzy nie tylko wierzą w podświadomość, lecz również chcą obraz logicznie zorganizować, wyróżniają się pp. Kasztelan, Morawski, Zajączkowska i R. Jodełko. P. Michałowska ma dobre rysunki.

Gościem jest absolwent szkoły p. T. Ilnicki. Jeden pejzaż w ściszonej tonacji jest obrazem bardzo ciekawym. Drugi natomiast, również operujący dużymi płaszczyznami, jest mniej szczęśliwy, bo barwy bardziej nasycone mają wartość przestrzenną odpowiednio silniejszą; i jeśli się plany łączy w sposób wystarczający przy modelunku bardziej okrągłym, to łączenie to okazuje się za słabe dla wielkich płaskich plam i obraz przestaje się trzymać.

Lecz mówiąc o potknięciu trzeba dodać, że jest to potknięcie człowieka bardzo zdolnego, którego prof. Bohusz nigdy nie będzie się miał powodu wstydzić.

Stefan Arvay

HISZPAŃSKIE LEGENDY

(Dokończenie ze str. 2)

tawernie, na głos, przy licznych świadkach, bez najmniejszej krępacji. Gdzież argusowe oko policji, gdzie tysiące uwijających się szpiegów, gdzie czuła inwigilacja cudzoziemców? Winczakiewicz nawet o ułatwieniach dla turystów pisze złośliwie: rządowi chodzi o dewizy. Należy założyć zatem, że demokratyczny rząd francuski czy włoski organizuje swoją turystykę wyłącznie ze względów altruistycznych, a na obce dewizy w ogóle gwiżdże. Otóż dewizy dewizami, a fakt, że turysta cudzoziemski ma tu absolutną swobodę — nawet swobodę szkalowania! — posiada swoją wymowę. To musi być bardzo totalitarny system i bardzo wielki terror, skoro Winczakiewicz mógł rozstawiać po kątach reżym hiszpański na łamach polskich czasopism, a jednocześnie z całym spokojem opalać się na Balearach. Niechby tak spróbował tego samego u Bieruta, o którym mówi, że kubek w kubek podobny do Franco!

Podczas wojny dwukrotnie znalazłem się w Hiszpanii na stopie nielegalnej. Za pierwszym razem trwało to pięć miesięcy, za drugim — przeszło sześć. Nie siedziałem w żadnej mysiej dziurze, chodziłem najspokojniej po ulicach, przesiadywałem w nocnych lokalach, wdawałem się w publiczne dyskusje. Z akcentem głoszącym o kilometr obce pochodzenie! Nikt mnie nigdy nie zaczepił ani wylegitymował. Od czego więc są ci policjanci, ta „ponura zielono-czarna Guardia Civil" i te karabiny maszynowe, które tak bardzo smucą panów turystów? Powiem im na ucho: od tego, aby wychowankowie terrorystycznej akademii w Tuluzie, marzący o ponownym udekorowaniu Puerta de Alcalá portretem Stalina i rozszerzeniu masowego cmentarza na Paracuellos de Jarama, nie mogli spacerować spokojnie ze spluwą w kieszeni i ładunkiem plastiku pod pachą.

* * *

A teraz pomówmy o niedawnej przeszłości. Teza wielu osób — najdobitniej sformułował ją Tadeusz Podgórski w „Wiadomościach" — głosi, że „bunt generała Franco w 1936 roku skierowany był przeciw rządowi demokratycznemu i prawowitej władzy". Powodem do powstania miała być sprawa reformy rolnej. „Dopiero w późniejszym stadium wojny domowej, wyzyskując rewoltę przeciwdemokratyczną generała Franco, komuniści w znacznym stopniu narzucili republikanom swe kierownictwo". I natychmiast z walną pomocą przychodzi niezawodna statystyka „w parlamencie... wyłonionym z wolnych wyborów... na ogólną liczbę 473 posłów zasiadło tylko 16 komunistów..." ,

Jędrzej Giertych pierwszy zwrócił uwagę na analogiczny fakt, że za rosyjskiej kiereńszczyzny bolszewicy również stanowili stosunkowo nieznaczną mniejszość. Przypomnijmy też, że już po rewolucji październikowej najpopularniejsze na wsi rosyjskiej hasło głosiło: „Dziel ziemię, bij komunistów!" Jak to się wszystko skończyło, wiemy aż nadto dobrze. Można akcję generała Franco określać jako prewencyjną, pochwalać ją lub potępiać, nazywać faszystowskim buntem, czy jeszcze inaczej. Można, jak Winczakiewicz, biadać, że Franco, choć katolik, złamał przysięgę złożoną Republice, o ile przysięga obowiązuje wobec trupa. Bo właśnie tak, w roku 1936 była ona już trupem, a rozchorowała się śmiertelnie w samym dniu narodzin. Gdy w biały dzień, w sercu Madrytu bojówki lewicowe podpalały stary klasztor, a wraz z nim bogatą bibliotekę, w której nie brakowało średniowiecznych inkunabułów, a policja dbała jedynie, by straż pożarna nie dotarła na miejsce zbyt szybko, zaś nazajutrz urzędujący minister odpowiadał na interpelację parlamentarną, że życie jednego Hiszpana jest więcej warte, niż wszystkie kościoły i klasztory razem wzięte — Republika już była skazana na zagładę.

„Wolne wybory"! Czy panowie turyści wiedzą, że w przeddzień tych wyborów prasa komunistyczna i anarchistyczna wzywała otwarcie do terroru w stosunku do ludzi prawicy, zachęcając między innymi do tak demokratycznych wyczynów jak podpalanie zboża na pniu, do czego istotnie w wielu prowincjach doszło, a rząd w ogóle na to nie reagował lub reagował słabo i nieudolnie? Słabość wobec panoszącej się zbrodni, to grzech, za który zawsze trzeba odpokutować. Władza stoczyła się na ulicę i przechodziła coraz wyraźniej — nie w ręce ludu! — w ręce wielkomiejskich szumowin. Więc reakcja przyszła, bo przyjść musiała. I Hiszpania narodowa udowodniła, że cytowany powyżej pan minister nie miał racji, boć w obronie palonych kościołów nie jeden, ale tysiące Hiszpanów gotowe były oddać i oddały swe życie.

Powstanie miało udać się w pierwszej fazie dzięki Maurom, a w drugiej dzięki Niemcom i Włochom. Twierdzi się, że po jednej stronie walczył lud, a po drugiej kler, obszarnicy, fabrykanci, generalicja, karliści i Falanga. Powiedzmy skromnie, że z tych fabrykantów i obszarników nikt nie wystawiłby ani jednej dywizji. Któż walczył właściwie? Toż dziś jeszcze prowincja Segovii, słabo zaludniona, chłopsko-pasterska, górzysta prowincja liczy szesnaście tysięcy byłych kombatantów, A przecież były jakieś straty. Jakie oblicze społeczne miała owa tajemnicza Falanga, którą Winczakiewicz beztrosko i jednym tchem wymienia między biskupami i generałami? Z pierwszych dwu falangistów, jakich poznałem po przyjeździe z Figueras do Madrytu, jeden jest synem chłopa z Galicji i byłym komunistą; drugi — synem szewca z Walladolidu. W miasteczkach i wsiach Starej Kastylii, Leonu, Galicji do Falangi i JONS-u szedł rzemieślnik, chłop, wreszcie inteligent proletariackiego pochodzenia. O tym, że ruch karlistowski opierał się głównie na chłopach nawarskich i baskijskich, nie będę już mówił, bo chyba nawet panowie turyści to wiedzą. Zanim Franco doszedł do przedmieść Madrytu, a Queipo de Llano zagadał przez radio Sewilli, już Burgos, Walladolid, Leon, Zamora, Pamplona, Compostela znalazły się w rękach sił narodowych. Maurów tam nie było, a garnizony wojskowe bardzo szczupłe. Zapytajcie owego szewca kastylijskiego, o którego synu wspomniałem, dlaczego szesnastoletniego wyrostka wysłał w pole pod znakami królów kastylijskich, a nie pod czerwonym czy też czarnym sztandarem. Musiały tam działać jakieś racje, o których w Baedeckerze „demokratycznym" panuje dziwne milczenie.

Republika — znów wszechwiedzący Winczakiewicz! — była „antyklerykalna", ale przeciw religii „nie występowała". Proklamację tej Republiki po wyjeździe Alfonsa XIII, a więc na pięć lat przed wybuchem wojny uczczono powszechnym niszczeniem kościołów. Widocznie nie znam się na subtelnych rozróżnieniach, bo nie chwytam niuansu. Czy systematyczne podpalanie świątyń, to tylko antyklerykalizm, czy również walka z religią? Księży — twierdzi turysta — zaczęto mordować dopiero po wybuchu powstania. Była to represja za zdradę Republiki. Jakże te represje wyglądały? Winczakiewicz odpowiedział już w swoim czasie odmownie, gdy mu zaproponowałem, że go zaprowadzę na cmentarz w Paracuellos de Jarama, więc zapewne i tym razem nie zechce, bym mu pokazał mur na ulicy Martinez de la Rosa, gdzie pewnego ranka wystrzelano nie tylko mniszki z klasztoru przy Torrijos, ale i kilkanaście staruch, które w tymże klasztorze żyły na dożywociu lub łaskawym chlebie. Klasztor skonfiskowano na biura rządowe. Co zrobić z jego mieszkankami? „W r a s c h o d", choć po hiszpańsku nazywa się to inaczej.

„Gniew ludu" przejawiał się w sposób raczej oryginalny. „Patrulla de amanecer" przychodzi o świcie do mieszkania pewnego baskijskiego dziennikarza. Spał ubrany i w ostatniej chwili zdążył uciec kuchennymi schodami. Rewizja nie dała wyników. Ale z łóżka wyciągają młodego studenta, siostrzeńca owego dziennikarza. „Pokazać papiery!" Legitymacja uniwersytecka, jakaś książeczka oszczędnościowa — nieważne. Ale znajdują również legitymację Akcji Katolickiej. „A tuś nam, ptaszku! Tamten uciekł, to przynajmniej trzaśniemy tego". Nazajutrz jeszcze jednego trupa z przestrzeloną głową znajdują na szosie aragońskiej. Wyłącznie za przynależność do Akcji Katolickiej! Bijcież brawo, panowie turyści!

Skoro już zgadało się o antyklerykalizmie, muszę powiedzieć coś, co nie pójdzie w smak osobom zamiłowanym w sztancach myślowych. Oto ruch falangistowski, a jeszcze bardziej jonsistowski charakteryzował w tamtych latach dość silny antyklerykalizm i niewątpliwy radykalizm społeczny. Okrzyk Ramiro Ledesmy: „Wolę czerwoną koszulę Garibaldiego od czarnej Mussoliniego!" — nie był tanią demagogią. Jaką drogą poszły sprawy później, to inna kwestia. W każdym razie warto, by się nad tym wszystkim zastanowili ci, co wciąż jeszcze twierdzą, że Maurowie i Niemcy wygrali wojnę domową dla obszarników i kleru.

Nie jest celem tego artykułu obrona reżymu hiszpańskiego, zwłaszcza obrona we wszystkim, co czynił i czyni. Mam od dawna wyrobione zdanie o wielu ciemnych stronach życia hiszpańskiego, ale co innego jest krytyka lojalna i uczciwa, a co innego wieszanie psów i rozpowszechnianie nieprawdy. A choćby taka krytyka miała wypaść najostrzej, żadne zarzuty nie są w stanie zmienić faktu, że gdyby nie powstanie 1936 roku i zwycięsko zakończona wojna, Hiszpania byłaby dziś republiką komunistyczną lub w najlepszym razie zniszczonym, pogrążonym na samo dno nędzy i anarchii krajem, w którym rządziłoby nieszczęście, skrytobójstwo i całkowite rozprzężenie moralne. To wszystko — pod sztandarem wymarzonej „demokracji". Obawiam się jednak, że gdyby czule po dziś dzień pielęgnowane marzenia o upadku generała Franco spotkały się z realizacją, panowie turyści nie mogliby spokojnie podróżować po Hiszpanii, by następnie dawać upust swym humorkom na łamach prasy zagranicznej.

Ach, ten humor, ten zły humor, który zresztą wcale im nie przeszkadza znowu wyjeżdżać następnego roku na Baleary!

Józef Łobodowski

WSPÓŁCZESNA HISZPANIA

Oddajemy dziś w ręce Czytelników numer ŻYCIA, poświęcony niemal wyłącznie sprawom hiszpańskim. Treść numeru posiada charakter polemiczny.

Nie oznacza to, iż nie posiadamy sądu własnego. Doskonałość wszakże nie jest z tej ziemi, a polityczny system dyktatora Hiszpanii nawet z ziemską doskonałością nie jest jednoznaczny.

Naszym zdaniem gen. Franco ocalił swoją ojczyznę od katastrofy a świat od poważnych trudności. Franco nie jest też dyktatorem sensu stricto, gdyż władzę zdobył nie podstępem, w oparciu o klikę partyjną czy wojskową, lecz w ciężkiej, trzyletniej walce zbrojnej, w której po jego stronie stanęły wielkie masy narodu, które zadecydowały o zwycięstwie systemu. Jest to zatem dyktatura oparta o wolę znacznej, jeśli nie przeważającej części narodu. Być może nawet, że w czasie wojny domowej gen. Franco miał więcej zwolenników, niż posiada ich obecnie.

Katolicy nie mogą być zwolennikami dyktatury trwałej. Rozwiązanie hiszpańskie musi więc być uważane za przejściowe, za najmniejsze zło, czy też za nienajwiększe dobro. Toteż z troską i sympatią dla dzisiejszej Hiszpanii otwarliśmy dyskusję „hiszpańską" na łamach ŻYCIA. Uważamy i będziemy uważać za swój obowiązek przestrzegać przed utożsamianiem jakiegokolwiek systemu, rządu czy partii politycznej z nauką Chrystusa. Jedyny system, rząd i partia Chrystusowa, to jest Kościół katolicki. Dlatego też nazbyt gorliwych wielbicieli systemu gen. Franco musimy przestrzec, że nie tylko jego rządy, ale przede wszystkim trwałość jego dyktatury nie mogą być uważane za reprezentatywne formy katolickiej koncepcji państwa i rządu. Głoszenie tezy o „epoce dyktatur" jest po prostu brakiem wiary w zwycięstwo Chrystusa na ziemi.

Hiszpania wraca zwolna do swojej dziejowej roli. W nowy okres wchodzi ze szczerą sympatią dla Polski niepodległej i katolickiej. Tego też nie wolno nam przeoczyć.

Emigracja polska wzajemnie cieszy się powodzeniami katolickiej Hiszpanii.

Zamykając dyskusję o rzekomym kryzysie katolicyzmu w Hiszpanii, zdaniem naszym pozytywną i pożyteczną, ŻYCIE do spraw hiszpańskich powracać będzie jeszcze niejednokrotnie. W tece redakcyjnej znajdują się m.in.: część II artykułu Michała Poradowskiego o problematyce politycznej współczesnej Hiszpanii, essay Floriana Śmieji o Federico Garcia Lorca, rozprawa o sztuce współczesnej Hiszpanii Franciszka Strzałki oraz wiersze o tematyce hiszpańskiej Józefa Łobodowskiego.

NUMER WYDAWNICZY

Następny (47/283) nr ŻYCIA, w zwiększonej objętości 6 stron, poświęcony będzie sprawom wydawniczym na emigracji i zawierał będzie m.in. artykuły Marii Danilewiczowej, Józefa Kisielewskiego oraz odpowiedzi na dwie ankiety: „W pracowniach pisarzy emigracyjnych" i „Warsztaty wydawnicze".

Cena numeru normalna, 1 szyling.

Numer następny będzie ostatnim, który wysyłamy bezpłatnie niepłacącym dotychczas odbiorcom. Ci tedy Czytelnicy, którzy otrzymywali dotąd ŻYCIE bezpłatnie, a pragną pismo nadal otrzymywać, proszeni są o wpłacenie normalnej prenumeraty.

NUMER KU CZCI NORWIDA

Nr 48 (284) ŻYCIA z datą 23 listopada poświęcony będzie pamięci C. K. Norwida w związku z odsłonięciem płyty pamiątkowej na grobie Poety na cmentarzu w Montmorency. W numerze znajdą się m. in. prace: Marii Czapskiej, Ireny Gałęzowskiej, Tymona Terleckiego i Jana Bielatowicza.

NUMER KU CZCI PROF. WŁADYSŁAWA KONOPCZYŃSKIEGO

Nr 49 (285) ŻYCIA z datą 30 listopada poświęcony będzie pamięci Prof. Władysława Konopczyńskiego. Numer ten będzie powiększony i liczył będzie 6 stron. Ogłoszone w nim będą m.in. następujące prace Prof. Konopczyńskiego: „Jak zostałem historykiem?" (pierwodruk) i „Siedem emigracji" oraz opracowania i wspomnienia m.in. dra Czesława Chowańca, mgra Antoniego Michalska, prof. Fr. Olipry, min. Franciszka Pułaskiego oraz prof. A. Bruce Boswella z Liverpool i prof. Jean Fabre ze Strasburga.

NAGRODY DLA PLASTYKÓW NA EMIGRACJI

Podtrzymując tradycję lat ubiegłych, po nagrodach pisarskich i naukowej, Polskie Oddziały Wartownicze w Niemczech ufundowały w bieżącym roku nagrodę za działalność w dziedzinie sztuk plastycznych i zwróciły się do Społeczności Akademickiej Uniwersytetu Stefana Batorego w Londynie z prośbą o wyłonienie Jury nagrody.

Społeczność Akademicka, która na emigracji podtrzymuje tradycję i działalność wszechnicy wileńskiej, prowadząc również, jako przedłużenie działalności Wydziału Sztuki tego Uniwersytetu, szkołę malarstwa sztalugowego, powołała Jury w składzie: Stefan Arvay, prof. Marian Bohusz Szyszko, dr Karolina Lanckorońska, dr Stefania Zahorska. Jako reprezentanta fundatorów nagrody zaproszono do Jury dra Tymona Terleckiego oraz p. Ludwika Bojczuka, jako przedstawiciela „Ostatnich Wiadomości".

Jury odbyło dwa zebrania pod przewodnictwem prof. Mariana Bohusza Szyszki i postanowiło kwotę przyznaną na nagrody podzielić na 5 części i przyznać nagrody po 40.000 franków: Andrzejowi Bobrowskiemu (rzeźba), Tadeuszowi Ilnickiemu (malarstwo), Marianowi Kościałkowskiemu (malarstwo), Zygmuntowi Turkiewiczowi (malarstwo) i Aleksandrowi Wernerowi (grafika).

Uroczystość wręczenia nagród połączona z otwarciem wystawy laureatów, odbędzie się w dniu 16 listopada b.r. w Londynie.

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA, 16 listopada 1952.

DYSKUSJE

O KRYTYCE POEZJI

Zbyt sobie cenię opinię Czytelników — a i Wydawców — ŻYCIA, bym nie usiłował podjąć próby wydobycia się z tej mogiły, w którą mnie wirujące szały trąby krytycznej Jana Bielatowicza wtrącić próbowały („Znawcy", ŻYCIE, nr 278).

Nie jest prawdą, jako bym miał „pretensje do teologów". Nie mam najmniejszych pretensji do teologów. Jeśli mówię, że sądów o zjawiskach spornych nie można wydawać z taką pewnością, z jaką są formułowane prawdy teologiczne, to dlatego, że prawdy teologiczne uważam za bezsporne. A szczególnie „cztery prawdy", z których pierwsza mówi, „że jest Bóg".

Przyznam się szczerze, że próbę Bielatowicza przedstawienia mnie jako faceta, który nie wierzy w tę pierwszą prawdę i który ma pretensje do teologów, uważam za bardzo brzydki chwyt polemiczny. Za uderzenie poniżej pasa, że użyję tej wytartej metafory.

Drugim tego typu uderzeniem wydaje mi się (powiadam: „wydaje mi się", bo trudno być sędzią meczu, w którym jest się i partnerem) aluzja Bielatowicza do mojej ideowości.

Odpowiadam Bielatowiczowi — uderzeniem wprost i powyżej pasa.

Nie dzisiaj wyskoczyłem z głowy Zeusa i nie od dzisiaj głoszę moją „filozofię" w prozie, którą Bielatowicz jakoby „bardzo sobie wysoko ceni". Jeśli dotąd nie wyłuskał sobie mojej filozofii z mojej prozy, to znaczy, że — wyznaję to z chrześcijańską pokorą — niezbyt jasno ją wykładałem, albo, że — gdybym przyjął mniej pokorną postawę — Bielatowicz jej nie pojął.

Wydaje mi się że moja filozofia jest filozofią chrześcijańskiego humanizmu. To znaczy wyrazem wiary w Boga i w człowieka, w rozwój i w ostateczne zwycięstwo lepszych pierwiastków duszy ludzkiej. W prozie swojej zawsze do tych właśnie pierwiastków apeluję. Walczę ze złymi pierwiastkami natury ludzkiej — za najgorszy z nich, za grzech grzechów, za źródło wszelkiego zła, uważam fałsz — metodą demaskowania, metodą zestawiania obłudnych haseł i pozorów z rzeczywistymi intencjami człowieka, grupy ludzkiej, systemu politycznego czy filozoficznego.

Ta moja „filozofia" i ta moja postawa przyjęły kiedyś formę ideologii komunistycznej, bo wydawało mi się, że komunizm walczy z obłudą o prawdę, a zatem i o ulepszenie człowieka.

Zerwałem z ideologią komunistyczną i w ogóle marksistowską natychmiast i bez wahań, kiedy się przekonałem, że pod frazeologią, która wydawała mi się „ornatem" siedzi diabeł i wielkim dzwonem rzekomej prawdy porusza ogon szatańskiej mistyfikacji (przepraszam za banalność tych metafor, ale nie chcę wywoływać nowej fali dyskusji na temat nowych metafor w rodzaju „okrągłej duszy").

Omyliłem się, bo jestem człowiekiem. Ale chcę zwrócić uwagę na to, że wielki swój błąd spostrzegłem nie wtedy, kiedy mnie „odwołano" z jakiejś tłustej placówki, tylko wtedy, gdy mi wielkie zaszczyty dopiero proponowano. I że wyciągnąłem praktyczne konsekwencje ze swego rozeznania nie za bezpiecznym płotem, ale będąc w zasięgu lufy nagana. Mój komunizm nie przyniósł mi w życiu ani jednej kropli miodu, — samą gorycz, taką samą zresztą, jaką mię do dziś poi moje — nie chcę być zbyt skromny i powiem: — odważne plunięcie komunizmowi w fałszywy i krwawy pysk w jego własnym legowisku. Mam na myśli oczywiście, gorycz, którą podaje mi świat zewnętrzny, a nie ten stan absolutnego spokoju sumienia, jaki odczuwam w sobie.

Przepraszam za dygresję zbyt — jak na epika — liryczną, ale Bielatowicz powiedział wyraźnie, że chciałby „usłyszeć" moją „filozofię", a to, co jest słuchaniem z jednej strony kratki konfesjonału, musi być tylko spowiedzią z drugiej. Spowiedź nie może nie być liryczna.

Przechodząc teraz do poezji i do krytyki poezji...

Hamsin Bielatowiczowej brawury krytycznej szalejącej od Arystotelesa do Konrada Górskiego zawiał nie tylko mnie, ale, sądzę, mógł zasypać piaskiem i oczy Czytelnika. Trudno mu jest wiedzieć, o co w moim skromnym, i rozmiarami i słownictwem, proteście p.t. „Krytycy" (ŻYCIE, nr 277) chodziło. Muszę przypomnieć — krótko.

Nie chodziło mi o ustalenie kanonów piękna poetyckiego, o przenikanie do istoty poezji jako takiej. Ja — człowiek skromny, ja — „niedouk polonistyczny", gdzie mnie tam do Arystotelesa, gdzie mnie do Pascala — ja-ż nawet do Paska nie dorastam. Mnie chodziło tylko o rzecz, że tak powiem życiowo-obyczajową, o to, by — jak już powiedziałem — sądów o sprawach spornych nie wyrażać z tak bezwzględną pewnością siebie, jak to robi Bielatowicz.

Na dowód, tylko na dowód, tego, że mogą istnieć sądy zupełnie „przeciwstawne" (dlaczego Bielatowiczowi ten wyraz tak się nie podoba?), o tych samych zjawiskach, przytoczyłem swoje wrażenia z pewnego wieczoru poetyckiego — zupełnie inne, niż wrażenia Bielatowicza z tego wieczoru.

Bielatowicz dyskusję rozszerzył na trzy czwarte strony ŻYCIA i na niemal wszystkie możliwe kwestie, istniejące w dość rozległej dziedzinie sztuki. Podejmowanie dyskusji na tej szerokiej podstawie jest ponad moje siły i ponad moją wiedzę „niedouczonego polonisty". Do mnie trzeba jeszcze mówić: „Pójdź dziecię, ja cię uczyć każę", a nie tam słuchać moich nauk — tym bardziej, że, przysięgam, nikomu nauk nie chcę dawać. Chcę się uczyć. Wobec tego proszę Bielatowicza, aby mnie oświecił w kilku, drobnych zupełnie, kwestiach — do wielkich problemów jeszcze mi daleko... A mianowicie:

Dlaczego moje powiedzenie „trafna metafora" jest „frazesem", a takie powiedzenia Bielatowicza, jak „czystość poetyckiej roboty", „nie ma w niej (tej robocie) ani uncji blagi, wychyleń poza obręb poetyckiego wyrazu" — nie są frazesami?

W swojej niedouczonej skromności myślę, że jeśli można ważyć blagę w poezji, to można i mierzyć trafność metafory; jeśli można sprawdzać kąty wychyleń, to można i oceniać trafność czegoś, tak bardzo zresztą konkretnego, jak metafora, której przynajmniej jeden człon powinien być zawsze zupełnie dobrze znany.

Poza tym: czy muzyczność poezji polega naprawdę tylko na rytmie? Czy przypadkiem muzyczność nie jest też bardzo ważnym składnikiem i kompozycji.

Czy twierdzenie, że nie można poświęcać precyzji na rzecz muzyczności, należy tłumaczyć, że w ogóle nie trzeba troszczyć się o muzyczność?

Czy mogę rozumieć dosłownie twierdzenie Bielatowicza, że: „jeśli Pietrkiewiczowi udało się tylko tyle, aby osnuć kilka tysięcy sylab „na tle wypadku autobusowego", to dość, aby go nazwać wielkim poetą"? — Bo jeśli mam to rozumieć dosłownie, w takim razie nie ma różnicy — może tylko w ilości sylab — między poezją a kroniką wypadków w „Daily Expressie".

Czy Bielatowicz nie miesza „dramatyczności" z „tragicznością", kiedy mówi że utwór Pietrkiewicza rozsadza formę sielanki „od wewnątrz własnym dramatycznym ładunkiem"? Wydaje mi się, że dramatyczność nie może być „ładunkiem", ponieważ jest elementem formy, ściśle — napięcia akcji, elementem ruchu, starć. Dramatem jest i tragedia i komedia i powieść i sielanka, — jeśli w ich fabule ścierają się przeciwstawne dążenia bohaterów. Tragizm natomiast jest elementem treści. Wypadek autobusowy jest tragiczny, ale nie dramatyczny, o ile jest wypadkiem, a nie, na przykład, samobójstwem albo formą zabójstwa. Dlatego „Tajemnica przystanku tramwajowego" jest dla mnie dramatem, albo próbą dramatu, a „Sielanka stołeczna" jest tylko snuciem sylab, pozbawionych wątku dramatycznego... I dlatego w zakresie dramatyczności wyżej stawiam „Tajemnicę przystanku tramwajowego", niż „Sielankę stołeczną"... Tak, tak — nie zapieram się.

Dlaczego sielanka, jako gatunek literacki ma być pozbawiona figur retorycznych? Czy Bielatowicz dobrze rozumie znaczenie pojęcia: „figura retoryczna"? Jest to przecież pojęcie, w którego zakres wchodzi — metafora, porównanie, onomatopeja, antyteza i ile ich tam jest. Dlaczego więc doszukiwanie się porównań, metafor itd. w sielance jest kopaniem pietruszki na gruszce? Przecież Bielatowicz pisze wyraźnie: „Jak można doszukiwać się „figur retorycznych" w sielance? Wylazł na gruszkę, kopał pietruszkę"... Dlaczego?

Okazuje się, że można czytać Arystotelesa, Pascala, Górskiego, nawet samego Pietrkiewicza, a nie czytać „zwykłego" Gallego. Mam na myśli nie jego „Wypisy dla klas niższych" ale „Stylistykę".

Bielatowicz powiada, że moja opinia o „świadomie nowoczesnej" poezji Pietrkiewicza przynosi ujmę nie Pietrkiewiczowi, ale mnie. A ja sądzę, że takie porównanie Pietrkiewicza: „Bęben jak tęgi aktor wybija rytm na swym brzuchu" wcale nie mnie przynosi ujmę, bo mimo, że często chodzę do teatru, nigdy nie widziałem, aby aktor — tęgi czy nawet szczupły — „wybijał rytm na swym brzuchu". W dalszym ciągu uważam, że to porównanie jest nietrafne.

Godzę się z Bielatowiczem, że krytyka nie „polega na głośnym gadaniu, popartym wymachiwaniem rąk i mazurowym potupywaniem". Byłbym szczęśliwy, gdyby Bielatowicz zgodził się ze mną, że poezja nie polega na „wybijaniu rytmu na swym brzuchu" — ani nawet na brzuchach krytyków.

A czym jest poezja? Ba, tego nikt nie wie i tego żadna dyskusja nie wyjaśni — tym bardziej dyskusja, rozpoczęta na zupełnie inny temat. Możemy tylko najwyżej próbować wiedzieć, czy dane konkretne utwory, pretendujące do nazwy poezji, są rzeczywiście poetyckie czy nie.

Raz jeszcze chciałbym wyjaśnić: nie byłoby tej dyskusji, gdyby Jan Bielatowicz w swojej — „zaczepionej" przeze mnie — impresji p.t. „Poeci" wyraził swoje sądy w formie: „wydaje mi się że..."

A jeśli powiedziałem, że tylko marksiści albo teolodzy mają prawo do sądów bezwzględnych, to dlatego, że pierwsi — w moim przekonaniu — absolutnie nie mają racji, a drudzy — absolutnie mają: bo pierwsi powołują się na zawsze omylny autorytet ludzki, a drudzy na nigdy nieomylny autorytet Boski.

Nigdy bym nie przypuszczał, że Bielatowicz tego mego powiedzenia użyje za główny cel swego chwytu w tej dziwnej „dyskusji", która przypomina mi — że użyję figury retorycznej, zwanej porównaniem — walkę w stylu „catch as catch can".

Poza tym chciałem powiedzieć, że wyrażenie „ujadanie zza płota" uważam za bardzo już „kliszową" metaforę, a w stosunku do mojego stylu bycia, pisania i dyskutowania — za zupełnie nietrafną. (Ja nigdy nie „ujadam", tylko walczę o to, co mi się wydaje słuszne i nigdy zza płotu, tylko na udeptanej ziemi). I zupełnie już nie poetycką, a tym samym nie piękną. Ot, co...

JANUSZ KOWALEWSKI

Musimy kończyć tę dyskusję, chociaż Janusz Kowalewski wygłasza ogromnie miłe zdania. Oby jak najrychlej doznał łaski zrozumienia, iż ideologia, którą się szczyci, nie jest jego osobistym wynalazkiem, lecz prawdą odwieczną i jedyną.

Nie chodziło wszakże w dyskusji o ideologię Janusza Kowalewskiego jako człowieka, lecz o ideologię Janusza Kowalewskiego jako krytyka poezji. Czasem nie ma w tych ideologiach różnicy, ale przeważnie jest. Nawet w prozie beletrystycznej mój szanowny adwersarz nie głosi ideologii jednolitej, nie czyni tego też w publicystyce, a cóż dopiero w poezji i jej krytyce!

Jakże bowiem można nazywać się „chrześcijańskim humanistą", a dyskusję o poezji zaczynać zdaniem: „Nie znoszę litości w ogóle". Albo ogłaszać artykuł, od którego włosy stają na głowie i dreszcz przerażenia biegnie po kręgosłupie, iż tylko siła jest właściwym kryterium literatury i życia, co jest ordynarnym echem czkawki, którą się od Nietschego zaraził Rosenberg, a od Rosenberga Hitler, ani nie humaniści, ani nie chrześcijańcy.

Grzeszymy wszyscy, ale błędem największym, „źródłem wszelkiego zła" nie jest — jak twierdzi Kowalewski — fałsz, albowiem fałsz jest tylko skutkiem błędów. Błędem głównym jest natomiast pycha, z której rodzi się walka z Bogiem, a szczególnie zaprzeczanie Boga. Pycha też współczesnych inteligentów i inteligencików oraz masy ich ofiar, prostych ludzi, doprowadziła do wojującej ignorancji lub do łaskawego korygowania Objawienia.

Teologowie nie zawsze mają „absolutną rację". Między teologami bywają duże spory i różnice zdań. Teologia bowiem jest nauką o Bogu i Boskich sprawach oraz wnioskami wyprowadzonymi rozumowaniem z wiary i zasad wiary. Tylko dogmatyka i etyka obejmują prawdy objawione, a przez Kościół podane do wierzenia. Lecz inne działy teologii, jak np. apologetyka są obroną podstaw wiary, a więc autorytetem tylko na ludzką miarę. Słyszał chyba coś Janusz Kowalewski o szkołach teologicznych i filozoficznych chrześcijańskich i różnicach między nimi?

Wracając do krytyki poezji, niech mi wybaczy Janusz Kowalewski, że nie będę bił ani poniżej ani powyżej pasa. W boksie oprócz pasa istnieją jeszcze przepisy co do wagi. Różnym wagom nie wolno się ze sobą siłować. Janusz Kowalewski tak bardzo zaniedbał swoją kondycję krytyczną, nadomiar cietrzewiąc się w uporze, że do bicia się nie nadaje.

JAN BIELATOWICZ

P.S. Retoryka jest nauką o sztuce mówienia, zaś nauka o sztuce pisania nazywa się stylistyką. Jeśli Galle napisał inaczej, to znaczy, że Galle napisał głupstwo.

Sielanka nie może być dramatem, muzyczność nie jest bardzo ważnym — ani żadnym — składnikiem kompozycji (tak jak telegraficzność nie jest składnikiem drutu) i czystość poetyckiej roboty nie jest frazesem. A poezją jest nie tylko to, co się na wylot rozumie.

„WOBEC ZŁYCH LUDZI"

J. M. Bocheński, O. P. prosi o ogłoszenie, iż rozprawa jego pt. „Wobec złych ludzi", zamieszczona w nrze 42/278 ŻYCIA, jest przedrukiem.

ZAPISKI LONDYŃSKIE

BRYTYJSKIE WYDARZENIA KULTURALNE OSTATNIEGO OKRESU

OGRANICZENIA W WYWOZIE DZIEŁ SZTUKI

Wywóz dzieł sztuki z Wielkiej Brytanii za granicę podlega od pewnego czasu ograniczeniom. Ministerstwo handlu (Board of Trade) może odmówić wydania licencji na wywóz dzieła sztuki, liczącego więcej niż 75 lat istnienia, jeśli uważane jest ono za część „dziedzictwa narodowego" („national heritage"). Specjalna komisja pod przewodnictwem lorda Waverleya, która powołana została do życia celem przestudiowania tych spraw, wypowiedziała się za utrzymaniem powyższego przepisu z tym jednak, że w razie „veta" właściciel wchodzącego w grę dzieła sztuki powinien otrzymać sprawiedliwą cenę za to dzieło od rządu.

Zalecenie to spotkało się z krytyką niektórych organów prasowych. Tak np. „Evening Standard" stwierdza, iż jest rzeczą słuszną, by właściciele dzieł sztuki otaczani byli opieką, ale opieka ta nie powinna spadać na barki „taxpayera". Lepiej — zdaniem dziennika — dozwolić na sprzedaż tych dzieł sztuki na wolnym rynku.

„Evening Standard" przytacza kilka drastycznych wypadków zastosowania „veta". Tak np. Sir Edmund Paston-Bedingfeld, chcąc utrzymać w swym posiadaniu rodzinny pałac Oxburgh Hall koło King's Lynn, zbudowany w XV wieku, postanowił sprzedać do Ameryki nakrycie łoża, haftowane przez królową Szkocji Marię Stuart. Board of Trade odmówiła wydania licencji i w rezultacie Sir Edmund musiał sprzedać cały budynek.

W innym wypadku lord Herbert chciał sprzedać starą zbroję na licytacji, w której uczestniczyli też nabywcy zagraniczni. Został jednak poinformowany, że gdyby zbroja sprzedana być miała za granicę, Board of Trade odmówi licencji.

„Veto" nie zawsze jednak jest stosowane. Tak np lord Elgin otrzymał pozwolenie na sprzedaż do Ameryki jednego ze wspaniałych obrazów Velazqueza. Nabywcą było nowojorskie Metropolitan Museum, które dało za obraz 74,000 dolarów.

ANARCHISTA O CONRADZIE

Przed sądem policyjnym w Londynie stawał niedawno niezwykły przestępca: anarchista Archie, oskarżony o to, że przemawiając na jednej z ulic wywołał zbiegowisko, tamujące ruch uliczny. Między sędzią (w tym wypadku nosi on miano „magistrate") Bennettem a oskarżonym wywiązał się dialog, który wedle sprawozdawcy sądowego „Evening Standard" przedstawiał się następująco:

„Jeśli Pan jest anarchistą — pytał sędzia, — to niewątpliwie jest Pan przeciw prawu i porządkowi?"

„Nie jesteśmy przeciw prawu, ani przeciw porządkowi — odparł Archie. — Jesteśmy przeciw wszystkim formom przemocy: armii, policji, rządom, gdyż uważamy je za ciemięskie..."

„A ja myślałem, że anarchiści posługują się bombami — ciągnął sędzia Bennett. — Wszak jednemu z nich polecono kiedyś wysadzić w powietrze obserwatorium w Greenwich?"

„Och, to było już bardzo dawno — odrzekł pobłażliwie Archie. — Było na ten temat opowiadanie pana Josepha Conrada. Jest w naszym interesie, by prawo i porządek były utrzymane, tak byśmy mogli odbywać bez przeszkód nasze zebrania..."

Pisząc „Tajnego agenta" — bo to właśnie jest powieść, która za tło ma spisek anarchistów, zmierzający do wysadzenia w powietrze obserwatorium w Greenwich — Józef Konrad-Korzeniowski nie przypuszczał prawdopodobnie, że po czterdziestu z górą latach powieść ta cytowana będzie w sądzie przez anarchistę zupełnie niepodobnego do swych rewolucyjnie i burzycielsko nastrojonych poprzedników...

Arhie skazany został ostatecznie tylko na 5 szylingów grzywny, gdyż sędzia uznał, że do powiększenia zbiegowiska przyczynił się przez swą interwencję jeden z urzędników policji

KRÓLEWSKA KOLEKCJA FILATELISTYCZNA

W Buckingham Palace znajduje się specjalny „Stamp Room" mieszczący królewską kolekcję filatelistyczną zapoczątkowaną przez Jerzego V i kontynuowaną przez jego syna Jerzego VI. Ogólna ilość znaczków nie jest dokładnie znana, nikt ich bowiem nie zliczał, ocenia się jednak, że jest ich około ćwierć miliona. Znaczki, zebrane przez Jerzego V, umieszczone są w 330 czerwonych albumach i dlatego noszą nazwę Kolekcji Czerwonej. Znaczki Jerzego VI znalazły pomieszczenie w albumach niebieskich— stąd nazwa Kolekcji Niebieskiej...

Jerzy V — czytamy w „Sunday Times" — potrafił tak „zatopić się" w swym zbiorze znaczków, że wyjątkowo tylko dzwonił w tym czasie na służbę. Przez wiele lat dwa razy tylko zadzwonił na służącego ze „Stamp Roomu".

W najbliższych dniach ukazać się ma spod prasy wspaniała księga pt. „The Royal Philatelic Collection", zredagowana przez p. Clarence Winchester, kustosza zbioru. Księga ta, luksusowo oprawna, zawierać będzie szereg klisz z facsimilami różnych znaczków. Egzemplarz kosztować będzie 60 gwinei w Wielkiej Brytanii, a 180 dolarów w Stanach Zjednoczonych.

„UŁAN POLSKI" NA WYSTAWIE GERICAULTA

W londyńskiej „Marlborough Gallery" (17-18, Old Bond Street, W.1) odbywa się obecnie wystawa dzieł malarza francuskiego z początków XIX w., Teodora Géricault. Géricault żył w latach 1791-1824; wraz z Delacroix uchodzi za pierwszego przedstawiciela prądów romantycznych w malarstwie.

Wśród jego wystawionych obrazów jeden przedstawia polskiego ułana-trębacza na wspiętym białym koniu. Fotografia tego obrazu ukazała się na czele numeru „Listenera" z d. 30 października.

Wstęp na wystawę 2 szylingi, dla studentów 1/-. Otwarta jest w dni powszednie od 10 do 5.30, w soboty od 10-12.30.

NOWOŚCI WYDAWNICZE

WYDAWNICTWA TEATRALNE SPK WIKTOR BUDZYŃSKI: „NOC PRZEMINĘŁA..." Sztuka w 3 aktach z życia Kraju, odpowiednia do grania w okresie świąt Bożego Narodzenia i zimowym. Cena 4/-, (porto 3d).

ODCZYTY SPK. Zeszyt dziesiąty GLOSSATOR: „PAŃSTWO I PARTIA W POLSCE DZISIEJSZEJ". Rzecz o „nowej konstytucji" i rządach reżymu w Polsce. Cena 1/, (porto 3d). Do nabycia: SPK, 18, Queens Gate Terrace, London S.W.7 i wszystkie księgarnie polskie. SPK wydało 27 publikacji oświatowych i teatralnych. Wykaz na żądanie.



Park Sabatianiego w Madrycie.

W OJCZYŹNIE DON KICHOTA

(Dokończenie ze str. 1)

wa, leży bardzo na sercu odmarksizowanie warstwy robotniczej, dlatego też i związki zawodowe usiłuje się oprzeć na zasadach solidaryzmu i współpracy, powierzając im nie tylko walkę o polepszenie bytu robotnika i pilnowanie jego interesów, ale w ogóle troskę o wszystkie sprawy świata pracy, unikając egoizmu klasowego. Z tego też powodu stanowiska kierownicze w syndykatach są zastrzeżone dla członków Falangi, co nadaje im charakter polityczny, a to budzi ostrą krytykę ze strony wielu robotników, obojętnych na sprawy polityczne. Starzy robotnicy, przyzwyczajeni do dawnego typu związku zawodowego, nie są zadowoleni z tych nowości, ale robotnik młody, wychowany już w odrodzonej Hiszpanii, odnosi się do tej pracy z entuzjazmem.

Wspominaliśmy już o znacznym polepszeniu warunków bytu warstwy robotniczej. Jaskrawo widać to ze statystyk zdrowia. W ostatnich kilku latach nastąpiła pod tym względem poprawa wprost zdumiewająca, n. p. ogromny spadek śmiertelności niemowląt (dokładne i wyczerpujące dane znaleźć można w ostatnim nrze Międzynarodowego Przeglądu Socjologicznego „Revista Internacional de Sociologia", styczeń - marzec 1952). Przy sposobności wspomnijmy, że ludność Hiszpanii w ostatnim stuleciu zdwoiła się. Dzisiaj Hiszpania posiada około 30 milionów ludności. Przyrost ludności porównać można jedynie z Włochami. Zabijanie dzieci nienarodzonych — ta najbardziej hańbiąca plaga krajów cywilizowanych — w Hiszpanii jest nieznana.

Mówiąc o sprawach społecznych, trudno nie wspomnieć o przepięknej, ofiarnej wprost bez granic, pracy społecznej żeńskiej sekcji Falangi (Seccion Femenina). Jest to praca cicha, skromna, bez rozgłosu i reklamy. Prowadzą ją ochotniczki, młode dziewczęta ze wszystkich warstw społecznych (głównie jednak spośród inteligencji). Wiele z nich pracy tej poświęciło się całkowicie, rezygnując z życia osobistego i kariery zawodowej. Zaczynają od pracy najpilniejszej, od walki z analfabetyzmem, z przesądami i brakiem higieny. Później idzie pomoc matkom licznych rodzin i matkom chorym (sprzątanie mieszkań, mycie dzieci, gotowanie, pranie itd.). pomoc sanitarna, praca oświatowa i kulturalna. Wskrzesza się stare, piękne tradycje ludowe: dawne tańce (nawet z wczesnego średniowiecza), stare pieśni, zapomniane stroje ludowe itp. Organizuje się obozy letnie dla młodzieży, kursy wakacyjne, wycieczki.

O pracy społecznej zakonów i zgromadzeń religijnych nie piszę, gdyż praca ta w Hiszpanii nie różni się od pracy w innych krajach. Jest ona typowa nie tyle dla Hiszpanii, co dla świata chrześcijańskiego. W Hiszpanii jest ona może tylko intensywniejsza, gdyż cieszy się ułatwieniami i poparciem ze strony władz państwowych.

Michał Poradowski

WŚRÓD KSIĄŻEK I CZASOPISM

NIEZWYKŁA KSIĄŻKA O POLSCE. R. C. Hutchinson, wybitny powieściopisarz angielski, liczący dziś lat 45, autor „Elephant and Castle", służył w czasie wojny w armii brytyjskiej na Średnim Wschodzie i w tym charakterze zetknął się z Polakami, którym udało się wydostać z państwa sowieckiego. Posłużyło mu to prawdopodobnie za bodziec do napisania powieści pt. „Recollection of a Journey", którą właśnie wypuściła w świat firma Cassell (cena 15/-; powieść ta poprzednio już ukazała się w Stanach Zjednoczonych pt. „Journey with Strangers").

Jest to rzecz dużego talentu. Przedmiotem jej są dzieje polskiej arystokratycznej rodziny Kolbecków (nazwisko oczywiście fikcyjne) w okresie ostatniej wojny, kiedy członkowie tej rodziny, po przebrnięciu przez okupację niemiecką zostają deportowani w głąb Rosji dzieląc tragiczny los setek tysięcy swych rodaków. Narratorką tych dziejów (cała powieść pisana jest w pierwszej osobie) jest żona jednego z Kolbecków, później wdowa po nim, Stefania, Rusinka z pochodzenia, która poprzez niechęć i rezerwę w stosunku do rodziny swego męża dochodzi do uczuć wręcz przeciwnych — omal miłości i uwielbienia.

Książka wywołała szereg recenzji w prasie brytyjskiej, przeważnie bardzo przychylnych. W „The Listener" z dnia 30 października znany krytyk literacki Stephen Spender pisze o niej m.i. co następuje:

„Jest to powieść pisana w tradycji flaubertowskiego realizmu z „L'Education sentimentale". Pokazuje ona, że metoda realistyczna, jeśli jest inteligentna i nacechowana wyobraźnią, zlewa się z fantazją Kafki. „Recollection of a Journey" daje istotnie osobliwy skutek, czyniąc Kafkę politycznym prorokiem życia w wielu częściach dzisiejszej Europy. Powieść ta jest, między innymi, szlachetnych hołdem, złożonym Polsce przez angielskiego pisarza. Mówi nam ona, dlaczego narody nienawidzą swych prześladowców... „Recollection of a Journey" odznacza się humanizmem, rzadkim w powieści. Tu powieściopisarz wyłamuje się ze skorupy swego własnego osobistego doświadczenia i wkracza w sferę obiektywnego odczuwania świata szerszego od siebie samego. Rozszerza on nasze poczucie tego, co oznacza słowo „inni"

Zdaniem D. Paula, recenzenta „Observera" (w nrze z dnia 26 października), „książka ma wymiary tołstojowskie jeśli nawet nie osiąga tego poziomu, i wymaga w ostatecznej instancji osądzenia wedle tych mierników..." „Wątpię — pisze dalej Paul — czy w całej literaturze istnieje większy monolit, poświęcony ludzkiemu nieszczęściu i wytrwaniu".

W „Sunday Times" z tego samego dnia J. M. Lambert pisze, że książka Hutchinsona jest fascynującym „studium mocy ducha ludzkiego." „Ci, którzy uważają Hutchinsona za jednego z najsubtelniejszych żyjących dziś powieściopisarzy angielskich, będą mieli w „Recollection of a Journey" bardzo silny argument wzmacniający ich tezę".

Jedyna nieprzychylna recenzja o powieści Hutchinsona ukazała się w „Times Literary Supplement (z dnia 31 października). Niepodpisany — jak zwykle w tym piśmie — recenzent przyznaje książce pewne zalety, twierdzi jednak, że brak jej „napięcia i straszliwości wielu autentycznych relacji, pisanych przez ludzi, którzy odbyli takie podróże i żyli w takich obozach". Trudno uznać słuszność tego zarzutu. Książka Hutchinsona w zamierzeniu swym nie jest obiektywną relacją, ale dokumentem psychologicznym, pokazującym jak opisywane wydarzenia przełamywały się w umyśle fikcyjnej narratorki, Stefanii, z jej wewnętrznymi obsesjami i napięciami. Z tego też względu nietrafny wydaje się tytuł recenzji: „Forced Labour" („Praca przymusowa").

* * *

AUTOBIOGRAFIA KOESTLERA. Pod tytułem „Arrow in the Blue" Arthur Koestler ogłosił pierwszą część swej autobiografii (Hamish Hamilton & Collins, cena 18/-). Całość ma objąć parę tomów. „Arrow in the Blue" obejmuje dzieciństwo i młodość pisarza.

Zdaniem Filipa Toynbee, recenzenta „Observera", książka z punktu widzenia najwyższych wymagań, jakie można stawiać autobiografii, stanowi „a brave failure". Koestlerowi nie udało się wejść w swe dawne „skóry" i o swych przeszłych stanach pisze on w świetle swych późniejszych doświadczeń. Ale — stwierdza Toynbee — książka jako opowiadanie retrospektywne o człowieku i całym okresie, jest doskonała.

* * *

APOLOGIA MARKIZA DE SADE. Markiz de Sade, od nazwiska którego pochodzą słowa „sadyzm" i „sadysta", znalazł nowego apologetę w osobie p. Gilbert Lély. Ogłosił on pierwszy tom biografii Sade'a z okresu 1740 — 1778 (wydała książkę firma Gallimard), równocześnie zaś pojawił się także drukiem opracowany przez Lély'ego wybór listów markiza de Sade pt. „L'Aigle, Mademoiselle..." (wyd. Georges Artigues). Zdaniem Lély'ego Sade pierwszy ujawnił tajemnice natury ludzkiej, które dopiero znacznie później stały się przedmiotem badań Freuda i jego uczniów. Poza tym Lély przypisuje markizowi de Sade wysokiej klasy talent pisarski i poetycki.

W „Figaro Littéraire" z dnia 1 listopada wybitny krytyk André Rousseaux bardzo krytycznie ocenia książkę Lély'ego i rozprawia się z jego wysiłkami rehabilitowania Sade'a.

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: Veritas Foundation Centre. Adres redakcji i administracji: Polish Weekly, ŻYCIE, 12 Praed Mews. London W.2. Telefony: Redakcja i Administracja: AMB 6879. Drukarnia PAD 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt tylko od godz. 3.30 — 4.30 po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 — 13 i od 14 — 17; z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja żadnych rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy dołączyć znaczki pocztowe. PRENUMERATA płatna jest z góry i wynosi: miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie 26 sh. Wszelkie wpłaty przekazywać należy Postal lub Money orderami, względnie czekami bankowymi „c r o s s e d" (//). wystawionych na Veritas Foundation Publication Centre. CENY OGŁOSZEŃ 1 cal przez 1 łam — £1, w tekście 50 proc. drożej, na stronie tytułowej 100 proc. drożej. Prenumerata zagraniczna: ARGENTYNA: cena 1 egz. — 2 pesos, kwartalnie 26 pesos, półrocznie 52 pesos. Przedstawicielstwo „Libreria Polaca", Av. Leandro N. Alem 641 — Buenos Aires. BELGIA: miesięcznie 30 frs., kwartalnie 80 frs. Przedstawiciel: E. Kułakowski 101, Augusta Lambiotte, Bruxelles 3. — FRANCJA: miesięcznie 180 frs., kwartalnie 540 frs. Przedstawicielstwo „Libella" Librairie 12, rue St. Louis en l'Ile, Paris IV. — NIEMCY: miesięcznie 250 DM Przedstawicielstwo mają „Informacja Prasowa", (23) Quakenbrück, Shiphhorst 2. i St. Mikiciuk (13 B) München 54, Seehamerstr, 4, Bar. 16 B/2. — SZWAJCARIA: kwartalnie 3.50 frs. Przedstawicielstwo: P.K.S.U. Veritas. Section Suisse Case Postale 19, Fribourg 2. — SZWECJA: miesięcznie 3.50 kr., kwartalnie 10.00 kr. Przedstawiciel: B. Kurowski Anggatan 6c. Lund. Sverige. Sweden. — U.S.A.: — kwartalnie pocztą zwykłą 2$., pocztą lotniczą $3. Przedstawiciele: 1) Antoni Stojanowski, 10 East 18th Street, Bayonne N. J. 2) Gryf Publication, 808, Wager St. Utica, 3) E. Bagiński, 3690 Helen Avenue Detroit 7, Michigan, 4) St. Paleszewski, 1079 N. Marshfield, Chicago 33, Illinois.

Printed by: Veritas Foundation Press. 12, Praed Mews, London, W.2. Tel.: PAD 9734